



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XIX Nr 8(216) Żelów, sierpień 2014

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Andrzeja Bartyńskiego, Ryszarda Klimczaka, Damiana Skawińskiego, Doroty Szumilas, Andrzeja Waltera

Andrzej Dębkowski – *Powstanie...*

Warszawskie... oraz Rozkwiecione Poetyckie Ogrody

Leszek Żuliński – *Poeci okrągłego stołu*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poetycki bilans życia*

Andrzej Bartyński – *My, poeci...*

Stefan Jurkowski – *Dusioły i matole*

Kazimierz Iwosse – *Polska, ale jaka? (5)*

oraz fragment powieści Garść nieba, garść piekła

Aleksandra Zofia Pijanowska-Adamczyk
Okruchy pamięci

Stanisław Grabowski – *Moja wolność jest taka jak ja*

Andrzej Walter – *Skok w ciemność. O poezji Jarosława Zielińskiego*

Anna Andrych – *W szklanej kuli sonetów.*

O poezji Krystyny Koneckiej

Emil Biela – *Niech cię chwali nasza miłość*

Marek Jastrząb – *Derywacje*

Wydarzenia

Informacje

Imprezy

Kronika

Zapowiedzi

Opinie

Noty

Poglądy

Konkursy

Witryna



POWSTANIE WARSZAWSKIE

1944-2014

PAMIĘTAMY!

Konkursy

VIII Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Feliksa Rajczaka

Forum Poetyckie „Ogród Cisy” zaprasza do udziału w II Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim.

Organizatorem Konkursu jest Forum Literackie „Ogród Cisy”, reprezentowane przez Jana Stanisława Kiczora.

Celem Konkursu jest promocja twórczości poetyckiej. Do Konkursu zaproszeni są wszyscy chętni piszący w języku polskim.

Każdy uczestnik ma prawo zgłosić do Konkursu trzy wiersze własnego autorstwa o dowolnej formie i tematyce, nigdzie wcześniej nienagradzane, niewysyłane równolegle na inne konkursy literackie oraz niepublikowane drukiem i w Internecie.

Utwory winny być napisane czcionką Times New Roman 12 z pojedynczym odstępem między wersami (podwójny po każdej zwrotce). Odstępstwo od ww. reguły może być dopuszczone, gdy wynika to ze specyfiki wiersza. Wiersze winny być wysyłane jako załączniki na adres e-mail: kiczor@poczta.onet.pl i zapisane w plikach „doc” lub „rtf”.

Autor może wysłać na Konkurs tylko jeden zestaw wierszy. Uczestnicy przysyłają utwory konkursowe od daty ogłoszenia do 15 października 2014 roku na adres Organizatora Konkursu: kiczor@poczta.onet.pl

Warunkiem uwzględnienia nadesłanych wierszy jest podanie (tylko do wiadomości Organizatora) swoich danych osobowych z adresem wyłącznie.

Przystąpienie uczestników do Konkursu równoznaczne jest z wyrażeniem przez nich zgody na przetwarzanie ich danych osobowych przez Organizatora dla potrzeb niezbędnych do realizacji konkursu, zgodnie z ustawą z dnia 29.08.97 r. o Ochronie Danych Osobowych Dz. U. Nr 133 poz. 883, a także z oświadczeniem, że nadesłane wiersze są ich autorstwa. Uczestnictwo w Konkursie oznacza także wyrażenie zgody na nieodpłatną prezentację nadesłanych wierszy w wydawnictwach pokonkursowych, prasie, radiu, telewizji, oraz na ich publikację na forum Ogród Cisy. Dotyczy to w szczególności tekstów nagrodzonych i wyróżnionych.

Z konkursu wyłączone jest Organizator w osobie Jana Stanisława Kiczora.

Nadesłane utwory zostaną ocenione przez profesjonalne jury, do którego zaproszeni zostali: Anna Maria Musz, Irena Kaczmarczyk, Leszek Żuliński – przewodniczący, Stefan Jurkowski.

Decyzje Jury są ostateczne i nie podlegają dyskusji.

Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone 20. listopada 2014 r. na stronie Forum Literackiego Ogród Cisy – www.ogrodscisy.pl i na Facebooku na stronie Ogród Cisy.

Laureaci konkursu otrzymają następujące nagrody: I miejsce – 500,00 PLN, II miejsce – 350,00 PLN, III miejsce – 150,00 PLN.

Miejsca IV i V – wyróżnienia książkowe z dyktandami Jurorów.

Ponadto wszyscy nagrodzeni otrzymają pamiątkowe dyplomy.

Zwycięzcy (I, II i III miejsce), w terminie siedmiu dni od daty ogłoszenia wyników, muszą przesłać do Organizatora, numer konta i dane konieczne do wysłania przelewu bankowego.

Organizator zastrzega sobie prawo do wpro-

wadzenia zmian w niniejszym Regulaminie.

Nieprzestrzeganie przez uczestników postanowień Regulaminu Konkursu będzie skutkowało dyskwalifikacją nadesłanych przez nich tekstów.

Uczestnicy biorący udział w Konkursie akceptują wszelkie postanowienia Regulaminu.

W sprawach spornych, nieujętych w Regulaminie Konkursu, ostateczne rozstrzygnięcia pozostają w gestii Organizatora.

Pod wskazanym adresem e-mail, można w razie potrzeby otrzymać dodatkowe informacje.

Imprezy

Rozkwiecione Poetyckie Ogrody

Lato. Sierpień. Upały. Niełatwo myśleć w takiej aurze o nieprzemijalności tego świata, a jednak warto wspomnieć o czasie, kiedy po raz kolejny dane mi było pojechać do Limanowej na „Poetyckie Ogrody”. Już jedenaste!

Marek Jerzy Stępień, poeta, organizator, *spiritus movens* tego przedsięwzięcia, człowiek nieprawdopodobnie skromny, realizuje swój „sen o spotykaniu się poetów” z wielkim zaangażowaniem. Często mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych. To oczywiście wielka bzdura, bo są dziedziny życia społecznego, w których odchodzący ludzie zabierają ze sobą całą przestrzeń, w której żyli i tworzyli. Bo tylko najbardziej twórczy i zaangażowani są w stanie udźwignąć ciężar współczesnej działalności kulturalnej.

Ta limanowska impreza, to po prostu „Człowiek i jego sen”. To „metaforyczny cień wbity głęboko w powłoki ludzkiego istnienia. Jeszcze jest życiem, czy już ogniem łączącym je z inną rzeczywistością” – pisze Marek J. Stępień w swojej książce pt. „Zrozumieć swoje serce”. Tylko człowiek o tak wielkich horyzontach i tak otwartym na ludzi sercu, jest w stanie zaangażować siebie i swoich bliskich, do realizacji takiego przedsięwzięcia.

Uczestnictwo w „Poetyckich Ogródach, to podróż do krainy jakby nie z naszych czasów, na pewno nie z drugiej dekady XXI wieku. Ale to nie jest zarzut, wprost przeciwnie, to „wielka ucieczka” od współczesnej – jakże nieprzyjemnej człowiekowi – rzeczywistości.

Jak co roku największą dla mnie przyjemnością jest możliwość spotkania się z przyjaciółmi, możliwość rozmowy nie o nowinkach świata komputerów, ale o tym, co ważne w życiu człowieka, o przemijaniu, o braku akceptacji tego, co być może dla bardzo młodych ludzi jest już przeszłe, trąci myślą, czy może wręcz ich odpycha.

Nie wiem, jak to się dzieje, ale rozumiemy się, jak mało kto – w pół słowa. Nie obrażamy na często ostre żarty. Po prostu lubimy przebywać w swoim towarzystwie. Wiem, że to rzadkie dzisiaj...

„Poetyckie Ogrody, to festiwal szczególny. Jest mnóstwo czasu dla siebie. Nikt nikt nie goni, spotkania spokojne – jakby czas zatrzymał się w jakimś szczególnym miejscu...

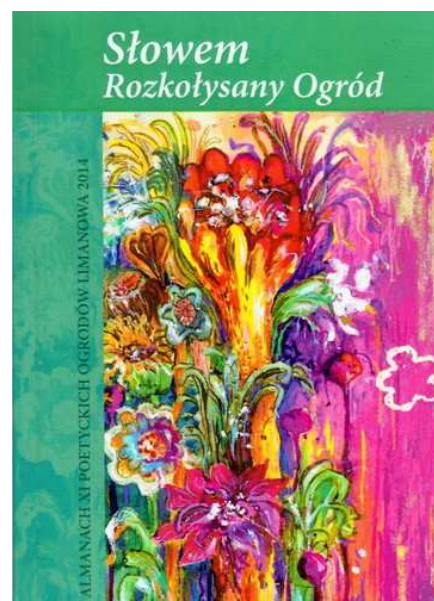
Tutaj nawet pogoda nie robi różnicy, bo jest magiczne miejsce na zboczach Makowicy, u Marka Dudka, człowieka wyjątkowego – taternika, autora filmów o tematyce górskiej, a przede wszystkim wspaniałego człowieka. Wybudował sobie letni dom w górach, skąd rozciągają się cudowne widoki na Beskid Niski...

Takie spotkania mocno budują, utwierdzają nas w przekonaniu, że chyba z tym naszym światem nie jest jeszcze aż tak bardzo źle, że przyjaźnie, oparte na zaufaniu, przetrwają naprawdę wiele.

Festiwal w Limanowej to dla mnie podróż do bliskich ludzi i miejsc, do tego, co sprawdzone, co daje spokój, ale i także do nowego, co przed nami, a co tak bardzo napawa nas ciekawością, wiarą i nadzieją, że może przecież być jeszcze piękniej...

Marek J. Stępień w słowie wstępnym do antologii festiwalowej napisał pięknie: „Nasze spotkania pod dachami i na wzgórzach »Poetyckich Ogródów« wkroczyły już do drugiej dziesiątki liczb. Wpisują się trwale w sposób myślenia o nieprzemijalności poezji, jako sztuki. To bardzo wiele, jeżeli możemy czytać własne wiersze, zapominając o hierarchii i rywalizacji – nieodłącznych atrybutach chylącego się ku zbanalizowanym i »lepkim« przyjemnościom świata. To czytanie (jak i późniejsze rozmowy) odbywają się przeważnie w blasku majowego słonecznego światła, kiedy człowiek-poeta odczuwa niesamowitą radość istnienia i może się nią dzielić z podobnymi sobie na zielonych wzgórzach, które odsłaniają rozległą perspektywę prowadzącą do coraz głębszej metafory”.

Andrzej Dębowski



Aleksandra Zofia Pijanowska-Adamczyk

Okruszki pamięci

Zima. 1945. Wojna jeszcze trwa, ale front ze wschodu przesunął się już dalej, na zachód od nas.

Oszłomienie. Tak chyba można określić stan świadomości społeczeństwa w naszym mieście. Wiemy, że z Niemcami już na pewno koniec, Berlin musi wkrótce skapitulować, ale... Ale jedni oddychają już z radością i nadzieją, że wreszcie zacznie się normalne życie, że wolność, inni z niepokojem, niepewnością, rozczarowaniem, że to nie Zachód nas oswobodził, że to nie tak miało być, i co teraz – nie wiadomo... Jednak czasu biegnącego nie da się zatrzymać. W zawrotnym tempie tak wiele zaczyna się dziać wokół nas. I działo się. Ruszały na nowo fabryki, organizowano urzędy, otwierano zamknięte przez hitlerowców szkoły, powstawały instytucje kulturalne i uczelnie wyższe. Do Łodzi zaczęli ścigać zewsząd przybysze, głównie ze zburzonej Warszawy, pragnący tu znaleźć dach nad głową, pracę lub szkołę. Łódź – gościnne miasto, przyjmowała wszystkich.

Ja byłem urodzoną łodzianką, miałam na miejscu rodzinę i dach nad głową. Wystarczyło podjąć i uzupełnić przerwana za okupacji naukę, zapisać się na studia i poszukać pracy.

Któregoś dnia przyszła do mnie koleżanka z wiadomością: „Słuchaj, organizuje się już redakcja łódzkiej gazety. Pójdź tam z twoimi wierszami, to chyba coś dla ciebie”. Poszłam z ciekawości i zostałam przyjęta. To była gazeta „Wolna Łódź”, a potem „Dziennik Łódzki”. Jako reporterka pisałam relacje z różnych spotkań, zebrań, wieców i tym podobnych, na które mnie wysyłano. Pomimo zapału do pracy, odczuwałam jednak pewien niedosyt. W gazecie wciąż jeszcze nie było kącika poezji, chociaż mi to obiecywał redaktor naczelny. Wreszcie nadarzyła się oczekiwana okazja, żeby popisać się czymś ciekawszym niż sprawozdanka z nudnych często zebrań organizacyjnych, związkowych, spółdzielczych...

Zapowiedziano i szumnie reklamowano w mieście pierwszą projekcję filmu w kinie Polonia (przed wojną Casino).

Scenariusz filmu oparty był na powieści Wandy Wasilewskiej pt. „Ojczyzna” (lub może „Ziemia w jarzmie”?).

Miałam napisać z filmu recenzję. Poszłam do kina, nawet się chyba nieco wzruszyłam, napisałam jakąś przydługą notatkę o łzawej treści i położyłam na biurku Naczelnego. Oczekiwałam uwag, a może... gratulacji? Nic. Następnego dnia miałam pójść, zapytać, ale nie zdążyłam: już wszyscy mówili o „jakimś Kałużyńskim”, który właśnie napisał trafną recenzję z filmu, bo przecież wiadomo, że to spec od tych spraw. Rzeczywiście, w numerze była jego recenzja, krótka zresztą i na pewno świetna! Nie poszłam już o nic pytać Naczelnego. Z

gorzkim zdziwieniem słuchałam tylko w redakcji fragmentów rozmów wysławiających „tego znakomitego” Kałużyńskiego, który właśnie „dopiero co” zjawił się w Łodzi.

Nie wiedziałam jeszcze wówczas, jak ten pan wygląda, bo może tylko na chwilę wpadał do redakcji. Poznałam go jednak wkrótce na spotkaniach w Literackim Studiu, gdzie zjawiał się czasem w towarzystwie Ryszarda Matyszewskiego, znanego historyka literatury i autora podręcznika do tejże, albo z Janem (?) Królem, redaktorem pisma „Chłopska Droga”. Zygmunt Kałużyński objawił mi się wtedy jako wysoki, szczupły brunet o bujnej czuprynie i charakterystycznym uśmiechu. Nie zdobyłam się jednak na odwagę, by porozmawiać z nim osobiście.

Po latach, kiedy zdarzało mi się napotkać w publikacjach artykuły Kałużyńskiego i później słyszeć nieraz jego wypowiedzi w telewizji, wzrastała moja sympatia do niego, chociaż często (z wewnętrznym chichotem w duchu!) wywoływałam z pamięci moje młodzieńcze, naiwne zdziwienie tamtego dnia, w którym dowiedziałam się, że „jakiś” Kałużyński napisał lepszą recenzję od mojej!

Mówiono mi już niejednokrotnie: „Dlaczego nie piszesz nic o dawnych spotkaniach z ciekawymi ludźmi, z artystami, muzykami, literatami, poznanymi osobiście albo przynajmniej obecnymi w twoim otoczeniu. To przecież może być ciekawe, a czasem ważne, jako jeszcze jedno świadectwo czasu, który bezpowrotnie minął...”

No właśnie! Niechże więc moje wspomnienie, na przykład o Zygmuncie Kałużyńskim, który, niestety, niedawno odszedł już z tego świata, będzie jak pierwszy, zblakły kadr starego filmu z powojennego, łódzkiego okresu mojej młodości. Wspominałam, że poznałam Zygmunta Kałużyńskiego dopiero, gdy zjawił się w naszym Studiu Literackim, którego byłam członkiem. Studio rozpoczynało swą działalność pod patronatem Związku Literatów Polskich i skupiało głównie piszącą młodzież studencką, ale również niektórych znanych już literatów i krytyków, jak m.in. Stefan Lichański – redaktor Lubelskiej „Kamieni”, Adolf Rudnicki – uwielbiany przez studentki za swe opowiadania („Czysty nurt” – i nie tylko...), Adam Ważyk – poeta, niezwykle poważnego usposobienia, noszący stale mundur wojskowy oficera I Dywizji Kościuszkowskiej (stroje militarne w ogóle były w tym czasie dość powszechnie noszone), Mieczysław Jastrun – poeta o melancholijnych oczach i uwodząco pięknym głosem (gdy recytował swe wiersze), Jan Papuga – marynista, chłopak o niezwykłym życiorysie przypominającym życie Jack’a Londona... Papuga, biedny chłopiec, pracował jako

robotnik w przemyśle, potem dostał się na okręt i pływał po morzach, na dalekich rejsach jako marynarz. Pozostał prostym samoukiem, ale potrafił pisać pięknym językiem, i zachwycał tym nie tylko czytelników, ale i krytyków literackich.

W spotkaniach Studia, a także w literackim Klubie Pickwicka, uczestniczyli – w charakterze gości lub konsultantów, jedni często, inni rzadziej – znani pisarze, jak Władysław Broniewski, Seweryn Pollak – poeta, eseista, tłumacz (ówcześnie też redaktor „Czytelnika”), Jerzy Wyszomirski – poeta, prozaik, tłumacz, Artur Sandauer – wybitny krytyk literatury, Kazimierz Brandys – prozaik, Leon Pasternak – poeta, Lucjan Rudnicki – prozaik i inni...

Wśród początkujących wówczas literatów, do których i ja się włączałam, była Mieczysława Buczkówna (później żona Jastruna), Anka Pogonowska (moja koleżanka z gimnazjum i z polonistyki), Andrzej Braun – prozaik, Jerzy Miller – poeta, Czesław Schabowski – prozaik, Józef Szczawiński, Tadeusz Kubiak, Wacław Olszewski – poeci, Wiktor Woroszyński – poeta, prozaik... W swym mundurze z demobilu bardzo wtedy szpanował, nie tylko ubiorem, ale i charakterystyczną postawą – niby ważnej jakiejś figury...

A naprawdę i bez szpanu – wiadomo było, że wielu z piszących kolegów miało poza sobą wyjście z lasu, partyzantkę AK, konspirację albo udział w Powstaniu Warszawskim... (i ja też miałam już swój udział w wojnie obronnej w 1939 roku, a potem w konspiracji ZWZ-AK).

Opiekunem Studia Literackiego był nasz profesor z polonistyki, historyk literatury – Zygmunt Saloni. Możliwości wyjścia na zewnątrz ze swą twórczością dla członków Studia Literackiego dawały nam poranki lub wieczory autorskie, między innymi w liceach, w Konserwatorium Muzycznym przy ulicy Gdańskiej, w dawnym teatrze Lutnia (a wtedy – sali Ośrodka Młodzieżowego Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, a przede wszystkim w popularnym i lubianym przez braci artystyczną Klubie Pickwicka, mającym swą siedzibę w hotelu Savoy przy ulicy Traugutta. Z inicjatywy profesora Saloniego i ja miałam tam swój wieczór autorski zakończony licznymi gratulacjami starszych literatów i krytyków, jak Stefan Lichański, Seweryn Pollak, Leon Pasternak, Feliks Żmudowski (dziennikarz). Na tym wieczorze była także Ryszarda Hanin – aktorka, żona Leona Pasternaka, ale już nie pamiętam, czy i z nią rozmawiałam. Wkrótce jednak zdarzyło mi się odwiedzić tę parę artystów w ich ówczesnym mieszkaniu, w Domu Związku Literatów przy ulicy Bandurskiego 8.

(Dokończenie na stronie 4)

Okruchy pamięci

(Dokończenie ze strony 3)

Usłyszałam też wiele ciepłych słów zachęty do pisania wierszy od obecnej również na imprezie, znakomitej aktorki Jadwigi Chojnackiej, która wtedy już była moją bezpośrednią zwierzchniczką, odkąd na zasadzie „trójporozumienia” przejęła mnie z redakcji „Dziennika Łódzkiego” do swego sekretariatu w Wojewódzkim Wydziale Kultury i Sztuki, gdzie zarządzała działem Teatru Muzyki i Literatury. „Straszna Dziunia”, jak żartobliwie nazywano panią Chojnacką, wcale nie była dla mnie straszna, przeciwnie, otoczyła mnie opieką i zaszczyliła promowaniem mojej poezji. Na jednym z wieczorów muzyczno-literackich w łódzkim Konserwatorium Muzycznym sama zaproponowała mi recytowanie moich wierszy, co zresztą wykonała z aplauzem publiczności. Warto dodać, że Jadwiga Chojnacka zasłynęła świetną rolą rajfurki w „Celestynie” de Rojas, a także jako Pani Dulski w komedii Gabrieli Zapolskiej. Do dziś ją wszyscy pewnie pamiętamy, jak była przekonująca w roli matki Jagusi w filmowej wersji „Chłopów” Reymonta. W późniejszym okresie Jadwiga Chojnacka objęła dyrekturę Teatru Powszechnego w Łodzi, a później jeszcze – funkcję profesora w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie. W sekretariacie Wydziału Kultury i Sztuki w Łodzi pracowałam u niej razem z Ireną Laskowską, późniejszą aktorką (znakomita rola w duecie z młodym i niezwykle przystojnym partnerem, Janem Machulskim, w niedocenionym jeszcze wówczas filmie „Ostatni dzień lata”).

Do pani Chojnackiej ściągali z całej Polski artyści: literaci, muzycy, aktorzy, plastycy – żeby ujawnić swą obecność i zadeklarować chęć działania w swych zawodach i pasjach artystycznych. Poznałam wielu z nich. Zjawił się, między innymi, znakomity scenograf – Władysław Daszewski, Kajetan Sosnowski – malarz, Kazimierz Wiłkomirski – muzyk ze znanej rodziny muzyków (Kazimierz w późniejszym okresie był dyrektorem Opery Wrocławskiej), Józef Wiłkomirski – był dyrektorem Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu, Wanda Wiłkomirska – już wtedy słynna skrzypaczka (zapamiętałam ją koncertującą – jako dziewczynkę z warkoczykami – dawną uczennicę z młodszej klasy mojego gimnazjum oraz uczennicę Konserwatorium Muzycznego w Łodzi).

Z Józefem Wiłkomirskim zetknęłam się zaraz po wojnie na wczasach akademickich w Długopolu-Zdroju, gdzie pełnił funkcję kierownika sekcji kulturalno-imprezowej i zaproponował mi w niej udział. Pamiętam, że przygotowaliśmy wówczas imprezę poświęconą pamięci Powstania Warszawskiego. Wśród studentów na wczasach wielu było uczestnikami lub świadkami Powstania. Kompozycja imprezy opierała się głównie na piosenkach żołnierzy Powstania, a także partyzantów AK.

Wczasy akademickie (przedłużone do wielu tygodni!) zorganizowane wówczas przez studencki „Bratniak”, wspomagane były wydatnie przez nieocenioną UNRĘ, dzięki której stołówka dostarczała nam na śniadania niezliczone ilości puszek skondensowanego mleka... Ten rarytas, po wojennej biedzie i niedożywieniu większości polskiej młodzieży, mógł się przyczynić na pewno do szybszej odnowy osłabionych organizmów.

Powojenna bieda zresztą, ujawniała się w najróżniejszych szczegółach codziennego życia, nie tylko w brakach żywności. Niekiedy sytuacje mogłyby się wydać nawet trochę zabawne, aczkolwiek dla uczestniczących – były raczej przykre. Byłam kiedyś świadkiem, gdy dwie młode dziewczyny – aktorki (o ile pamiętam, to była Alina Janowska i chyba tancerka – Helena Wilczyńska) przyszły do Kajetana Sosnowskiego, organizującego wówczas różne kulturalne, muzyczno-teatralne imprezy, z ogromną prośbą, aby pomógł im znaleźć jakieś źródło zaopatrzenia się w nowe lub inne, możliwe do noszenia i do występu, pończochy, ponieważ stan ich własnych był katastrofalny. Jako dowód rzeczowy odsłoniły kolana pokryte, na całej ich powierzchni, nie dzianiną pończochy, lecz ogromnymi cerami z grubej bawełny! Niezwykły był ten okres mojego życia i początków pracy w kulturze.

Pewnego dnia miałam zaszczyt uściśnąć dłoń i rozmawiać z przybyłym w ogromnym, „stróżowskim” kozuchu, Jerzym Waldorffem. Innego dnia witał mnie uprzejmie, charakterystycznym, tubalnym głosem, pytając o panią Chojnacką – nieznany mi dotychczas – wielki aktor, reżyser i dyrektor Teatru Wojska Polskiego – Aleksander Zelwerowicz. Przyjechał do Łodzi, aby we współpracy, z równie wielkim reżyserem i dyrektorem, Leonem Schillerem, podjąć jeszcze jedno dzieło: założenie w Łodzi Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej – co stało się wkrótce faktem. Odtąd pan Zelwerowicz bywał często w Wydziale Kultury, z daleka już słyszało się jego niezwykle głośny, który mnie fascynował. Do dziś go pamiętam!

Wśród wielu młodych ludzi ciężących ku środowiskom kultury, marzących o teatrze i zawodzie aktorskim, zaczął się gorączkowy ruch. Przychodzili, pytali, składali podania o przyjęcie do Instytutu... Młodzi aktorzy, związani już z teatrem, którzy zjawiali się często w Sekretariacie, prosili mnie nieraz o tworzenie dla nich tekstów do jakichś skeczy lub piosenek, z którymi mogliby wystąpić. Brakowało materiałów, brakowało wszystkiego – a oni rwali się do konkretnych działań. Wśród interesantów i znajomych, odwiedzających Sekretariat Wydziału, panowało przekonanie, że my obie „od pani Chojnackiej”: Irena Laskowska i ja, jesteśmy już jako pierwsze, zgłoszone do Instytutu na naukę sztuki teatralnej. Niestety, chociaż i mnie marzył się wtedy teatr i sztuka aktorska – stchórzyłam z braku wiary we własne możliwości i nie wyjawiałam nikomu swoich marzeń... Irena była inna. Piękna dziewczyna (podziwiałam ją), pełna wiary w siebie, wybrała

szkołę aktorską bez wahania.

Przesunęło się wtedy przez nasz Sekretariat wiele ciekawych osób, wielu znanych już wówczas, albo później, artystów, na przykład sławna wkrótce para: Tadeusz Sygietyński z Mirą Zimińską, dyrygent Tadeusz Markowski, Natasza Zylska, Henryk Szletyński, Alina Janowska, Karol Stromenger, małżeństwo Bairdów (muzycy), Franciszek Arno (śpiewak operowy)... O ile pamiętam, sam mówił, że Arno to jego pseudonim artystyczny, a nazwisko miał Kustosik. Był to sympatyczny, młody człowiek, atletycznej budowy, obdarzony przez naturę pięknym, tenorowym głosem i poczuciem humoru. Dostałam od niego tekst melodyjnej piosenki, którą czasem śpiewał: „Gdy zapłoną ranne zorze, dzwonią dzwony, dzwonią dzwony nad łąkami, nad polami... Hen, daleko, za górami, za lasami, słychać wioski mojej dzwon...”.

Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki mieścił się wówczas w wielkim, pofabrykanckim pałacu Poznańskich przy ulicy Ogrodowej. Były tam piękne wnętrza, niektóre jeszcze z resztkami pałacowych sprzętów, mebli... W jednej z sal stał ogromny, czarny fortepian, prawdopodobnie w zupełnie dobrym stanie i stroju. Można było o tym sądzić na podstawie improwizowanych czasem, krótkich prób koncertowych, wykonywanych przez przewijających się przez Urząd muzyków.

Pamiętam nawet jednego z nich, który był raczej śpiewakiem (chyba Szyfman-Pływacki) – i on to, akompaniując sobie na fortepianie, zaczął śpiewać pełnym głosem arie operowe, czym ściągnął po chwili ze wszystkich pokoi, zaintrygowanych koncertem pracowników...

Pamięć dotycząca bardzo dawnych zdarzeń, w których uczestniczyło się w jakiś sposób osobiście, nie zawsze lubi opierać się na faktach najdonioślejszych, znaczących, lecz często na drobiazgach, błyskach, momentach życia codziennego, mających posmak anegdoty, barwnego szczegółu, który upiększa wspomnienia, ożywia i utrwała. Ot, i jeden z małych okruszków przypomnień z tych dawnych lat: sympatyczny dla mnie gest Kazimierza Wiłkomirskiego, który przychodził często do Wydziału Kultury.

Któregoś dnia, pod koniec mojej pracy, rozpadła się deszcz i profesor Wiłkomirski zaoferował mi pożyczenie parasola. Trochę onieśmielona wzięłam jednak jego parasol, ale już następnego dnia pilnie go odniosłam do jego domu. Pan profesor z rodziną, mieszkał przy ulicy Wólczańskiej... Był niezwykle skromnym i sympatycznym człowiekiem, o wielkiej kulturze i ujmującym zachowaniu.

Podobnie wyciszonym, kulturalnym i nie-nagannym sposobem bycia zaznaczyli się w mojej pamięci: Seweryn Pollak, Kazimierz Truchanowski, Karol Stromenger, Henryk Szletyński (pewnie i inni, lecz mniej wyraziście utrwaleni w pamięci).

Wśród wielu wydarzeń kulturalnych owe-

(Dokończenie na stronie 8)

MNIJ WIĘCEJ (I 14)



Foto: Zofia Mikula

Poeci okrągłego stołu

Literacki Gorzów Wielkopolski ma tę wagę, że poetom z Rzeszowa ciężko tam dojechać. Poza tym ma coraz więcej zalet. Sporo tam się dzieje. Głównie dzięki miejscowej bibliotece im. Herberta, oddziałowi ZLP, klubowi „Lamus” i pojedynczym osobom, jak np. Beata P. Klary czy Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk. Z imprez najbardziej znanych wymienię tu Konkurs Poetycki im. Zdzisława Morawskiego i coroczny Festiwal Poetycki im. Kazimierza Furmana pn. „Furmanka”. Ostatnio rozkwitają nowe cykliczne spotkania, np. „Czytania Rocznicowe” czy „Literackie Potyczki”. Innymi słowy w Gorzowie naprawdę toczy się żwawe życie literackie.

LESZEK ŻULIŃSKI

Od wielu lat prezesem gorzowskiego ZLP jest Ireneusz K. Szmidt. Organizował on już niejedną imprezę, od lat redaguje miesięcznik „Pegaz Literacki”, prowadzi działalność wydawniczą i na tej ostatniej niwie w czerwcu wydarzyła się rzecz sympatyczna, której chcę poświęcić ten artykuł.

Otóż w jednym pakiecie Szmidt wydał aż 15 tomików gorzowskich poetów należących do klubu Poeci Okrągłego Stołu. Klub działa przy Grodzkim Domu Kultury, obchodził niedawno 15-lecie swego istnienia, więc była okazja, by go „podsumować”. Symbolicznie, bowiem nie było możliwości zaprezentowania wszystkich, ale 15 nazwisk na 15-lecie to przecież solida inicjatywa. Tomiczki nie są opasłe, najcieńsze liczą 16 stron, najgrubsze 32 strony, ale cały ten pakiet wygląda solidnie, jest bardzo konsekwentnie ujęty z jednolitą formułą edytorą, zapakowany w kartonową oprawę obejmującą wszystkie zbiorki i rzuca się w oczy solidna całość tej „szkatułki”.

A teraz po kilka zdań na temat każdego tomiku (kiedyś ten typ edycji nazywało się „zeszytem poetyckim”):

Maria Borcz, *Światłocienie* – pierwszy tom wierszy wydała w 2007 roku, ale *Bidulem* z roku 2011 zwróciła na siebie uwagę. W kilku

wydanych tomikach próbowała różnej tematyki – od historycznej po społeczną. Ma sporo do powiedzenia, bowiem „zna i czuje” życie. Prostota jej języka poetyckiego jest jej siłą. **Krystyna Caban**, *Spowiedź marionetki* – wydała wcześniej sześć tomików wierszy. W tym tomiku mam wiersze o samotności, o alienacji, o samotności, przesiąknięte aurą pustki i utraty. Są to epigramaty bardzo „ascetyczne” i „zdyscyplinowane”, jednak poruszające swoją egzystencjalną dezintegracją i „skargą samotności”.

Zenon Cichy, *Jeszcze nadzieja* – jeden z nestorów grupy (rocznik 1943), ten tomik jest jego drugą książką poetycką. Wiersze bardzo dyskretnie oceniające własne ego, raczej dominuje tu refleksja społeczna, motywy autotematyczne, wątki ojczyzniane. Autor w zasadzie wkracza na arenę publiczną; warty obserwowania.

Aneta Długolecka, *Historia jednej znajomości* – autorka pasjonuje się fotografią. To jej portrety ozdabiają okładki wszystkich 15 tomików z tego pakietu. Ma już debiut książkowy za sobą. Posługuje się bardzo naturalną dykcją poetycką, nie unika realiów, konkretów, wsłuchując się w sensy i konteksty, które wyłapać może tylko dobre „ucho poetyckie”.

Ferdynand Głodzik, *Szachy na Lachy* – znany gorzowski satyryk. Ma rzeczywiście cudowne poczucie humoru, elegancką nutę sarkazmu, a piórem potrafi nieźle uzdłić, choć rzadko kiedy zranić. Baczny obserwator absurdów rzeczywistości. W tym tomiku po raz kolejny to wszystko się potwierdza.

Beata P. Klary, *Konteksty* – chyba obecnie najbardziej znana autorka gorzowskiego środowiska. Debiutowała w roku 2005, z każdym rokiem bardziej aktywna, pomysłowa. Jej wiersze są nie tylko nowatorskie, ale także poruszające trudną, czasami dramatyczną tematykę. Tu mamy trochę tekstów starych, sporo nowych; jednym słowem Beata idzie jak burza...

Patrycja Kopacka, *Wchodzę – uwaga: rocznik 1995!* To jej debiut! Przechodziła zwycięsko przez konkursy; czuła obserwatora szczegółów nie unikająca liryzmu. Wiersze wielce refleksyjne, jak np. ten pt. *dzień ostateczny: powiedział, że kiedyś przyjdzie / otworzyłam drzwi i okna / na oścież / usiadłam nago na zimnej podłodze. // siedzę już kilka lat. / marznę.* **Tomasz Korbanek**, *Krajobraz z brzozą* – debiut książkowy! W tych wierszach konkret sytuacyjny ładnie przeplata się z impresyjnością. Pejzaże wewnętrzne rozmawiają z zewnętrznymi. Taka niby codzienność, ładnie zmetaforizowana zamieniająca codzienność w poezję.

Kamil Meller, *Czerwień* – debiut książkowy! Autor jest studentem, ulicznym graikiem i chyba dobrze zapowiadającym się poetą, o czym niech świadczy wiersz pt. *Wyznanie wiary: Nie jestem mistrzem świata / w chodzeniu do przodu / Zawsze kimś na drugim miejscu / Zawsze ex aequo / ale chodzimy prawie prosto // Gratulujemy Ci zwycięstwa / po raz kolejny z*

rzędu / Panie i Mistrzu – dla Ciebie / najwyższy stopień krzyża.

Agnieszka Moroz, *Pomiędzy mną a mną* – autorka już dobrze znana, wydała dotychczas cztery tomiki, które miały dobre przyjęcie. Jej wiersze to już „pełny profesjonalizm”; warto je czytać i warto pamiętać o nazwisku.

Zygmunt Marek Piechocki, *Pojednanie* – znana gorzowska postać! Wybitny znawca i recenzent muzyki poważnej. Autor wspaniałych książek prozatorskich. Poeta z wyobraźnią i – co ważne! – mający wiele do powiedzenia. Ten tomik potwierdza nieszablonowość Piechockiego.

Ireneusz K. Szmidt, *Poematy* – lider gorzowskiego środowiska, filar organizatorski tamtejszego życia literackiego z dużym dorobkiem. Tu rzeczywiście prezentuje wiersze „poematowe”, o charakterystycznym szerokim metrum – gęste od obserwacji, refleksji i treści.

Paulina Waszkiewicz, *Poza horyzontem* – debiut książkowy! Autorka pisze o sobie: *Moja przygoda z poezją była i ciągle jest wyboista. (...) Próbuję stworzyć coś nowego, czego sama jeszcze nie potrafię opisać. Ludzie mówią: „było już wszystko”. To nieprawda. Od naszej wyobraźni zależy, ile jeszcze zdołamy wymyślić.* Paulina (ur. 1996) jest najmłodsza autorką tej edycji!

Roman Wojciechowski, *Iris i inne wiersze* – nauczyciel wychowania muzycznego. To książka debiutancka 67-letniego pana. Wiersze w niej proste i tym najbardziej ujmujące. Autor odsłania się jako czuły komentator drobiazków, które decydują o urodzie naszego żywota.

Anna Żłobińska, *Haiku* – to jej pierwsza zwarta publikacja. Tytuł mówi wszystko o tym tomiku, który świetnie się czyta i trawi, jak np. ten „drobiażdżek” pt. *Niemoc twórcza: Wena opuszcza / poeta gubi pióro / nie ma czym pisać.* Jeśli haiku staje się „złotą myślą”, to sukces tym większy, im większa jego zaskakująca prostota!

Jaki morał z tej piętnastokrotnej lektury? Ano taki, że poezja nie tylko kreuje środowiska, ale że i środowiska dzięki swojej wspólnotocie mają motywację do wspólnych działań. Akurat w Gorzowie Wielkopolskim ta znana reguła sprawdza się skutecznie i perfekcyjnie.

POETÓW OKRĄGŁEGO STOŁU

PORTFEL Z WERSZAMI



Ryszard Klimczak

Głuchoniemym

Widziałeś, że strzelają; nie słyszałeś huku,
Zgarniałeś pył z twarzy gdy pękały domy.
Nie mogłeś krzyczeć: smuć się późny wnuku
Choć rozpacz rozbijała serce na atomy.
NajspRAWNIEJ żołnierskie pojąłeś idiomy.
Gdy pęłacz przyszło po warszawskim bruku.

Kiedy gestem wskazałeś kierunek ataku,
A sam stanąłeś – żywy czołg przeciwko

czółgom,
Każdy żołnierz z twojego odczytywał znaku
Jasny rozkaz: piędz po piędzi odbierzemy
wrogom,

Zaulek po zaułku, ulicę za ulicą.
Ty granat uniosłeś, jak pątnik gromnicę.

Zdarzenia patyną niepamięci czas powleka.
Nie zapomnę, jak szedłeś do szturmów bez lęku
I bez okrzyku: hurra! Powstaniec – kaleka
Padł ranny i z piersi nie wydobył jęku. Jak
gestem przekazać ci wiersz, który piszę? Mój
głos do ciebie nie dotrze. Wokół cisza.

Krajobraz

Jesteś ekstrawertykiem

nigdy
nie oglądałeś
swego
wewnętrznego pejzażu

zobacz

krajobraz
jak po pożarze

spopielina

Nie zabijaj

jam jest
który jest
Bóg
abrahama izaaka jakuba
ojciec jesusu
Pan wszelkiego stworzenia
na jedno mgnienie
wieczności
zawieszam
piąte przykazanie dekalogu
na planecie
Ziemia

Preludium wiolinowe

skrzypce
moje

skrzypce
piersz z węgierskiego świerku
grzbiet ze świętokrzyskiego jawora
który lud przezwiał szumawą
wymodelował lutnik
z cremońskiej szkoły mistrzów
może uczeń amatego
może czeladnik stradivariusa
może artysta z warsztatu groblicza

spozierają na mą bezradność
ze ściany mego pracowiska
izby osobliwości

zawieszono na wysmukłej szyi
obłożonej hebanowym gryfem
rezonują wyciszonymi dźwiękami
legendą wieniawskiego
menuetem paderewskiego
drgają rozkołysane
czardaszem montiego
węgierskim tańcem brahmisa
tym najsłynniejszym
piątym

pierwsze dotknięcie strun
opuszkami niezbornych palców
nastawiały henning
usprawniły duety pleyela
doskonaliły etiudy kreutzerza i radego
wysubtelnił beriot
poprzez cztery oktawy
i siedem pozycji

wiszą na plecencie ze złotej nitki
przewleczonej przez zagłębienie ślimaka
skarżą się coraz ciszej
żałą coraz rzewniej
ich zaśpiew zasmuca
melodia pobrzmiwa w głowie
dolente
sentimento
organ słuchu nie funkcjonuje
nie słyszę tonów

z rzadka
coraz rzadziej
biorę skrzypce do ręki
która omdlewa
nie potrafię wymelodiować fibicha
wypłakać gounoda
załkać cygańskim romansem
ukraińską dumką

głuchnę
jak skrzypce zawieszone na ścianie
gdy mistrz do rąk ich nie bierze
nie przytula do lewej dolnej szczęki
nie wtlacza podbródka
do wklęsłej hebanowej muszli
gdy pieszczę cztery struny
od g do e
drżą dysonansem
rzezi dusza skrzypiec
płacze dusza moja
współbrzmia bratnie dusze
harmoniczna tonacja przemijania

żegnam w zachwyceniu
rzeźbę instrumentu
rozmodlonym westchnieniem

głuchną skrzypce zawieszono na ścianie
głuchną ją
oszołomiony zgiełkiem świata

były wierne
przez sześćdziesiąt dwa lata
czuję że chcą wyrazić
coś bardzo ważnego
nie słysze

zaśpiewajcie

może rozdzwoni się w uchu
owo granie
które rozechnia się w mózgu

Dorota Szumilas

Honorowa Nadzieja

Nadzieja potrzebuje wsparcia
tli się jeszcze nędznym światłem
resztek minionego dnia gdzieś
stara się przebić ze swoimi
racjami bytu po zmierzchu
jest honorowa nie poprosi
o akompaniament sama stara się
oprzeć na silnych akordach
da radę naładuje akumulatory i odda
swoje ciepło w odpowiedniej
chwili życia nie jest matką naiwnych
wątpiących jest matką i ojcem
przetrawia

Czytając Syracysa

Przyjaźń
Wartość wielka
Przyjaciół
To skarb
To już przyjaciel
Czy nim nigdy nie był
To jeszcze nie - przyjaciel
A kiedy nim będzie
Nieprzyjaciel w końcu!?
A może wróg
Jeżeli jednak przyjaciel...
Czy ciągle nim będzie?
Czytaj Syracysesa!

Zgłiszcza pamięci

gałąź suchą
złamał srogi wiatr
zbyt sucha i zbyt lekka
by utrzymać
sвій maszt
na fali powietrza

potęga
żywił
czas który ucieka
jednym pomaga
innym nie pozwala
zamieść dokładnie
i wyrzucić
wszystko
co było
nie pozostawiając
wspomnień nawet
o tym
co było

O wystawie „Wizytówka Chopina”

przyciemniona
z jasnymi punktami...
muzyki Chopina
chwila refleksji
zupełnie nieoczekiwanej
w otoczeniu autografów
wyciszyłam szum serca
i spokojna wyszłam
po wizycie
u... poety fortepianu

Zaproszenia

nie-bywanie
nie lekceważy
zaproszeń
żadne z nich
nie pozostaje
bez swojej
odpowiedzi...
będącej wynikiem
kontemplacji
różnych odmian ciszy

Andrzej Walter

ecce dei agnus

każdej jesieni
coś się we mnie kończy
wiosną cieszyć się
że jeszcze tu jestem

kiedyś myślałem
że mam cały świat
dziś wiem
że cały ja
mogę być dla świata

tęsknię
i nie wiem za czym
mam nadzieję
lecz nie wiem na co
jestem w drodze

lecz nie wiem dokąd
o Bogu
nic nie wiem
niewiedza
to wszystko co mam

oswajanie

bywam pasterzem myśli
prowadzę je
w soczystość horyzontów

bywam też
wołą Twoją
dławioną samoistnym chceniem

teraz będę
spokojną ciszą
bez burz

teraz rozumiem
że chmury nie mówiąc nic
mówią wszystko

jutro

ulatuję z dymem
pod nowe niebo
wklejam w błękit
częstki duszy

czysta chwila
daremnie wyśniona
jednak wita
oto jest

teraz
tylko teraz
i nic poza

a jutro
morski powiew
rozwieje wspomnienia

odczucia

te długie spaceru
porządkują myśli
stos marzeń i stertę
zmartwień
naciskam spust migawki
płynę w ukojeniu
poprzez szare ulice
magicznych chwil
zima
a ja
upijam się kawą
w narożnym bistro

papierowe postacie
które tu dziś
nic nie znaczą
choć tak bardzo są

sobie mnie i kliszy
niezbędne i temu miastu
i ku wieczności
nieuniknionej pędzą skrycie
tunelem metra
gdzie schowałem
lęki ugaszone

te najwspanialsze wędrówki
kiedy wiem
że w końcu dotrę do Sekwany
rzeki życia i śmierci
stanę nad brzegiem bogatszy
o kolejne lata

niedoskonałość

jakaś niedoskonałość
za każdym rogiem ulicy się czai
w następnej stoi bramie
połknąć nas chce
utopić

chłodna zimna broń
skorupa
którą powleczeni
kroczymy w zbyt realny świat
jakaś małość

każdego dnia
w oczach wyrte uczucia
zamykają w czterech ścianach
nasz głos
milknący

wartości
mierzone naszą myślą
zdradzane małym czynem
zatrute
niedoskonałością

ach
tyle nas
ile od wczoraj ubyło

wielka noc

stworzył ich mężczyzną i kobietą
wyciągnął z otchłani czasu
czas – przykleił do życia

daleko w sadzie rosły owoce dobrego i złego
nie przeczuł następstw wolności
znów był sam w ogrodzie na początku po-
czątków

ściął drzewo - płonęło
z popiołów zlepił krzyż końca czasów
na ratunek



Okruchy pamięci

(Dokończenie ze strony 4)

go gorącego – nawet w zimie – czasu, były dwa, które przeżyłam bardzo mocno. Jednym z nich był uroczysty, zbiorowy poranek autorski w Teatrze Wojska Polskiego z pisarzami, którzy przybyli do Łodzi z różnych stron Polski. Wielu z nich jeszcze nie znałam, nazwiska innych zatarły się w pamięci, pozostawiły jednak wrażenie czegoś wyjątkowego. Każdy z autorów recytował sam swój wiersz lub fragment prozy, najżywiej przecież wspominam zawsze postać, sposób recytacji i wiersz – Jarosława Iwaszkiewicza, który tak wspaniale mówił swoje: „Plejad, to gwiazdozbiór jest październikowy...”. Jego głos, ten wiersz i okazała postać autora w nienagannym, ciemnym garniturze (z białym kwiatem czy z chusteczką w butonierce – dziś już nie pamiętam...) – to przywracało mi wiarę, że można żyć w świecie bez wojny...

Drugie wydarzenie, które utrwaliło nie-
zwykle moje doznania, wiąże się ze spotkaniem autorskim z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim w sali dawnego teatru Lutnia. Był to również Poranek Poetycki. Gałczyński – ciemny mężczyzna, średniego wzrostu, o bujnej czuprynie, pięknych, czarnych oczach i niezwykle głębokim, urzekającym głosie – mówił swoje wiersze, stojąc i leciutko czasem poruszając stopą, z pięty na palce, wprawiając ciało w nieznaczny ruch, miarowo-wahadłowy, co pogłębiało niespotykany efekt recytacji. Pozostało mi też na zawsze urzeczenie postacią poety i jego poezją...

To były gorące dni, gorące lata. Trudno było nadążyć za szybkim nurtem spraw, ale próbowaliśmy – my, młodzi. Zdarzały się piękne dokonania w kulturze, bywali piękni, ważni ludzie. Miałam wiele szczęścia, że mogłam zetknąć się z niektórymi, poznać ich. Doznawać radości przeżywania, smakowania ich dzieł.

Dzięki takim artystom, jak Leon Schiller, Aleksander Zelwerowicz, powstał w Łodzi Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej, rozkwitał wspólnymi przedstawieniami Teatr Wojska Polskiego, Teatr Powszechny.

Po premierze „Wesela” Wyspiańskiego, po „Krakowiakach i góralach” – chodziłam przez tydzień jak zaczadzona, podobnie po „Kramie z piosenkami”, po „Elektrze”. Po „Świerszczu za kominem” – z niezapomnianą Ryszardą Hanin – zachłystywałam się, jak wszyscy, Sztuką – przez duże S.

Teatr był, zaiste, dla nas, znękanych wojną, cudownym źródłem odnowy i... nadziei. Był taki dzięki ludziom, którzy go tworzyli: reżyserom, aktorom, pisarzom, scenarzystom, i wszystkim innym współpracownikom, nawet tym najskromniejszym – pasjonatom sztuki słowa. Zwłaszcza niezwykle realizacje reżyserkie Leona Schillera pozostaną na zawsze niezapomniane i może niedościgłe...

Widywałam we wspomnianym okresie i

innych, znanych twórców literatury, teatru czy muzyki, którzy albo czasowo, albo na dłużej pozostawali w Łodzi, ale nie poznałam ich bliżej. Widywałam więc czasem Zofię Nałkowską (mieszkała w Domu Literatów przy ulicy Bandurskiego), Połę Gojawczyńską, Stefanię Grodzieńską, Jurandotą...

Mój mały sztambuch ze wspomnieniami z tych lat (zamierzchłych – dla wielu młodych ludzi) otworzyłam przypomnieniem oryginalnej i sympatycznej dla mnie, aczkolwiek kontrowersyjnej dla niektórych osób postaci Zygmunta Kałużyńskiego. Żałuję, że już go nie ma wśród żywych. Z tego pokolenia zresztą pozostali tylko nieliczni. Szkoda. Było to bowiem pokolenie ludzi z twórczą pasją pięknych działań, z wiarą w sens swojej pracy.

**Aleksandra Zofia
Pijanowska-Adamczyk**



Wojciech Piotrowski

Wózek

Poranna kawa, jak zwykle zbyt gorąca, parzyła usta. Trzeba ją było odstawić, pić powoli, przygotować grzankę, smarując grubo lekimi powidłami. Pies na podwórzu, dobrze o tym wiedział, zaszczeka za chwilę – za minutę lub dwie – a zza zakrętu wyłoni się skrzypiący wózek pana Zbyszka. Tego „pan” dawno już nie wymawiano, a tym bardziej samego imienia. Mówiono: hej, ty, zjeżdżaj z tymi gratami i Zbyszek zjeżdżał, czasem zbyt pospiesznie, hamując rozpędzony w tym miejscu wehikułu naładowany tekturą z rozprutych kartonów, brzęczącymi, zawieszonymi na żelaznych prętach, rdzewiejącymi garnkami, czajnikami. To już nawet nie był Zbyszek, tylko jakieś Tse Tse Apepe, niezrozumiałe dla wszystkich ni to wyrażenie, ni to dźwięk, jaki niekiedy dało się słyszeć z jego bezzębnej gardzieli w chwili zadowolenia. Zatem pies zaszczeka za chwilę, za minutę lub dwie na Tse Tse Apepe, kawa będzie zbyt gorąca, a grzanka wciąż będzie oczekiwała na posmarowanie grubą warstwą lepkich powideł. Wystarczy czasu, by zamącić spokojną, jak lustro czystą i jak noc czarną powierzch-

nię napoju, niech przestygnie. Przed zamieszananiem można ujrzeć w tej toni odbicie twarzy – zmarszczki zbyt gęsto rozsiane nie pozwalały nazwać jej młodą, interesującą. Choć, co prawda – pomyślał – chyba jeszcze odrobinę przypomina (czy przypomina?) tamtą zaglądającą ciekawie w głęb jeziora, gdy pochylony nad balustradą udawał, iż nie widzi tej drugiej twarzy skłonięonej ku wodzie, figlarnie przechylonej ku niemu i grubego warkocza, z latami coraz dłuższego. Nigdy się do niej nie odezwał inaczej niż „panno Krysiu” – „panno Krysiu, niech panna uważa, można przecież wpaść do wody”. Tymczasem drzewa dookoła próbowały swych tańców lub stały w miejscu, nieme, gotowe, jak baletnice, pójść w tan. A pies szczekał, ujadł, toczył pianę, rzucał się na parkan, wózek toczył się swobodnie i szybko, Tse Tse Apepe coś marmotał pod nosem, oganiając się psu, „panno Krysiu, niech panna uważa” zawisało na moment nad poręczą i nie spadało w mętną kipieli jeziora, kawa stygła, a grzanka nadal była w sferze przypuszczalnej realizacji, czuło się jednak jej lepkość i słodkość. Szczekanie zacichało, jeszcze raz lub dwa usłyszał urwane, zmieszane: wau, wau – pamiętające, iż nie należy uciszać się od razu, wskazywałoby to na nieszczerą zaciętrzewienią. Łyżeczka zanurzona w czarnej topieli powoli zwałniała i upragniona chwila pierwszego łyku wydawała się zbliżać nieuchronnie. Ależ mój złoty, ten chłopak celowo zachowuje się nagannie, to znak buntu, który był nie do pomyślenia w mojej rodzinie, mówiła w takiej sytuacji ciotka, dodając: Do you understand my boy? Dobrze, że nie dodawała: stupid boy. Wezwany tym wykrzyknieniem nie odpowiadał, tulił jedynie głowę w ramionach, spuszczał wzrok ku podłodze i naturalnie przestawał zamazywać mieszankę w czymś, co podawano na śniadanie, a co przypominało kawę ze śmietanką, a smakowało jak karmel zaprawiony goryczą. Mógł tak siedzieć w bezruchu do chwili, gdy ojciec, kończąc czy jedynie przerywając rozmowę z kobietami przy stole, bez patrzenia nań stwierdzał: możesz pójść do siebie. Odchodził wówczas do swojego pokoju, pozbawiony prawa swobodnego zjedzenia śniadania, nareszcie wolny, choć nieprzyjemne uczucie zatykającej gardło kuli tkwiącej w przełyku, pozostawało nawet wówczas, gdy podejmował samotne zmaganie się z jedną z tych skomplikowanych konstrukcji, jakimi wypełniona była jego półka z zabawkami. Często nie pamiętał nawet ich nazw, bo i po co, skoro i tak na nie zasłużył. Wiedział – przez najbliższe godziny towarzyszyć będzie mu jedynie stojący tuż za oknem wyrośnięty krzak bzu – jego baobab, w którym skrywał się, chował, z którego, gdy był okretem żaglowym, wypatrywał piratów. Po późne godziny dnia, z wolna zapadającego mroku, świat wokół wypełniała cisza – jedyna niema towarzyszka, nie, wcale nie niema, przecież odpowiadała mu, prowadził z nią rozmowę,

nigdy nie była przeciwna jego zachciankom, nawet wówczas gdy zabierał ją na spacer po ogrodach pałacowych. Aleksandra K., o twarzy rozmarzonej dziewczynki z książki z baśniami, pamiętanej z tamtych lat: znowu się zagubiłeś, zwracam ci uwagę, nie będę chodziła na te nudne spacery, masz się mną zajmować. Ależ tak, ależ tak – ale nie wiedział, co się robi podczas spacerów z tak śliczną panną przypominającą rysunki księżniczki z baśni. Odszedł od stołu jedynie po to, by w pokoju obok odszukać tom przechowywany od dzieciennych lat. Na obrazie pulchna, z różem na policzkach dziewczynka nie podobala się mu już dawno, jakże mogła podobać się wówczas. A jednak, ta historia zaczęła się właśnie w dniach, gdy otrzymał tom owych dziwnych opowieści. Przywiozła go naturalnie ciotka „How are you” i oczekiwała grzecznych, wcale niewylewnych podziękowań. Zatem podziękował, a że nie wiedział, co zrobić z otrzymanym zbyt płaskim pakunkiem, po kształcie którego nie mógł spodziewać się ciekawej kolejnej zabawki, najwyżej kolejnej rysowanki, podszedł do stolika, położył go na blacie i delikatnie zaczął rozpakowywać ukryty za szarym papierem przedmiot. Nie potrafił jeszcze czytać i kiedy zobaczył owalnie, od skraju do skraju, biegnące na okładce znaki, poprosił o przeczytanie babcię, lecz ta zajęta podobaniem się gościom zganiła jego ciekawość. Zatem nie wiedział nadal, co otrzymał i ostrożnie obracał strona po stronie. Na niektórych kartach wcale nie było napisów, tylko duże kolorowe ilustracje. Wtedy poznał dziewczynkę o złotych kędziarach, pierwszą, na jaką zwrócił uwagę. Koniec, basta, posmaruj w końcu tę grzanekę i zjedz śniadanie. Spojrzał na stojący na kredensie kuchenny budzik. Ten spóźniał się jak zawsze, czuł to, choć nie wiedział o ile. Idź już, spóźnisz się, nie zdążysz na tramwaj – pamiętasz, mówiono ci często, ostatni raz przed z górą dwudziestu laty. „Idź już” – tak mówią znudzone kochanki i troskliwe żony. Prawie powiedział to do siebie szeptem. Już dawno z nikim nie rozmawiał, nawet z listonoszem, a prawda i ten już dawno nie zachodził. Wstał ciężko z kulawego stołka, pozbierał statki, kto tak jeszcze dzisiaj mówi, chyba tylko w jego wspomnieniach babka, ale i ta opuściła ten świat zbyt dawno i nagle, by zaświadczyć istnieniu takich wyrazów jak „statki”. Skąd to pojęcie – dostatki czy ostatki, a może stateczny – dojrzały, majątny. Pal sześć! Zdenerwował się na siebie: językowych dywagacji się zachciało. Babka umarła zbyt młodo, dziadkowie często umierają zbyt młodo, pozostawiając po sobie zapomniane przez wszystkich wyrazy, z którymi nie wiadomo co zrobić, bo nikt ich nie używa, nie rozumie, a płaczą się po głowie wnuczka. Co ty wygadujesz, mów normalnie, nie zmyślaj, karcono go, statki pływają po morzu, po rzece, widziałeś je przecież wczoraj! Nic nie widział, stał na molo i niedobrze mu się robiło na sam widok tego wzburzonego

wokół morza, a ciotka namawiała ojca, by popłynęli tą jedną ze stojących u nabrzeża łodzi spacerowych. Strach, strach przed podróżą po rozhuśtanych falach do dzisiaj go prześladował. Koniec, definitywny koniec z rozhuśtaniem, włożeniem na oślizłe skały, jemu starczy za wszystko karłowaty krzak bzu za oknem. Tyle że tego okna już nie ma. To znaczy jest, lecz patrzy przez nie kto inny. „Panno Krystyno, niech pani tak nie patrzy”. To okno zostawił i zabawki zostawił, nie, zabawki wyrzucił, popsuł, zestarzały się, przyszedł po nie Tse Tse Apepe, zagarnął do pudła, sam mu w tym pomagał i wyniósł. Dostał za to jeszcze dodatkowo parę złotych: ile pan chce? Żeby było dużo! Matka wysypała mu na złożone dłonie zawartość skarbonki, rozbiwszy ją poprzednio młotkiem. Było tego dużo, same dziesięcio- i dwudziestogroszówki zbierane od lat. Masz, kup sobie za to loda, cukierków. Nie, on jest oszczędny, prawda, ma nawet skarbonkę. I przynosił skarbonkę-domek w kolorze czekolady i potrząsał na znak, iż tak jest rzeczywiście, oszczędny. Z dumą na twarzy stał, aż w końcu zwracano na niego uwagę i ktoś wrzucał, do trzymanej w wyciągniętych rękach skarbonki, wydobytą z kieszeni drobną monetę. Ile to lat tak wrzucał, ile to razy był dumny, o czym to nie marzył. Mamo, a co za to będę mógł kupić, jak skarbonka będzie pełna? A co chciałbyś sobie kupić? Odpowiadała pytaniem. Nie wiedział: może to, co widział w witrynie sklepu z używanymi częściami radiowymi, a może ten słój z cukierkami. Nic. Tse Tse Apepe odszedł zadowolony z jego wyrzuconymi na śmietnik marzeniami. Nic to, kupię ci skarbonkę i uzbierasz na nowo. Nie dostał. Był już za duży na małe, groszowe datki, a większych, stosownych do wieku nie dostawał. Raz w roku, za świadectwo ojciec dawał mu dwadzieścia złotych. Koniec, koniec, koniec. Tse Tse Apepe, duże zdzienniałe chłopaczysko kupi za nie trochę tytoniu, może butelczynę piwa. Będzie szczęśliwy w sobie tylko wiadomy sposób. W pokoju zrobiło się niespodziewanie dużo miejsca. Aż echo dudniło, gdy zwracało się głowę w stronę opróżnionej po zabawkach półce. Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, pamiętał to dostatecznie dobrze, czym je zapełni. Nie, nie były to pudła z ołowianymi żołnierzami ani stojące obok siebie modele samochodów, lecz książki. Odtąd jego półka, a za jakiś czas półki, zaczęły zapełniać się książkami. Tego Tse Tse Apepe mu nie zabierze. Nie umie czytać, na nic mu się nie przydadzą, a i marna nie odda ich na makulaturę. Wtedy, w każdym razie początkowo, nie zastanawiał się, jakie to mają być książki. Były w nich obrazki z księżniczkami, przystojnymi młodzieńcami w wysokich kapeluszach i krągłych czarnych melonikach. Szybko jednak okazało się, że to jedyna książka z obrazkami, jaką sobie wymarzył. W pozostałych ludzie jeździli w dziwnych pojazdach z wystającą pionowo rurą, z której dymił czarny dym, albo chodzili po troje lub czworo

z powiewającymi majestatycznie sztandarami. Wszyscy byli zawsze uśmiechnięci, mówili do siebie nienaturalnymi słowami lub śpiewali pieśni o czymś, czego nie rozumiał. Śmieszni ludzie udawali, iż wiedzą, co i jak należy zrobić, by mrzonki stały się rzeczywistością – śmieszne kukielki, którymi poruszała nieco większa kukła.

Pokazywano ją często w czasopismach i książkach, była to głowa mężczyzny uśmiechającego się dobrotliwie zza sumiastych wąsów. Zwano go też dobrotliwie: Soso Dżugaszwili. Kłamstwo, kłamstwo, dobrotliwy mężczyzna okazał się tyranem, jak wielu przed nim, jak wielu po nim. Tse Tse Apepe nie miał wąsów i chyba nie wiedział, kto to był Soso... Dzisiaj to nie ma znaczenia, chyba nie ma *znaczenia*. Zerknął przelotnie w kierunku zegara. Nie zauważył nawet, jak zniknęła kromka chleba, którą w końcu posmarował i zjadł bez smaku. Dopiół też gorzkiego napoju. Tse Tse Apepe o tej porze zazwyczaj już wracał, ciągnąc za sobą pusty wózek, a pies zanosił się charkotem, znakiem pełnym nienawiści do wszystkiego, co żyje na wolności. Tymczasem cisza panowała wokół, na podwórzu, w kacie, gdzie stała buda i piętrzył się, nikomu niepotrzebny stos zardzewiałych sprzętów niegdyś potrzebnych, będących przedmiotem gwałtownego pożądanego, a dzisiaj jedynie Tse Tse Apepe mógłby je załadować na swój wózek i wywieźć na pobliski skład złomu, gdyby ktoś zlitował się i zabrał z podwórza psa. No, nareszcie usłyszał pierwszy pomruk Barego, nieomylny znak, iż zbliża się czas powrotu szczęśliwego nędzara, ale dzisiaj jest jakoś inaczej. Wózek jest znany, lecz ciągnie go dwóch nieznanego mężczyzn, znacznie młodszych od Tse Tse Apepe. On sam leży wygodnie na derde rozpostartej na dnie pojazdu. Nie jest ciężki, bo choć ulica wiedzie w tym miejscu pod górę, to ciągnący taczankę osobnicy czynią to bez wysiłku. Pewnie stary zdążył się spać za te parę złotych, które dzisiaj zarobił. Szczekanie psa niespodziewanie umilkło, jakby oberwał kamieniem, skulił się i ze skowytami skrył w budzie. Tse Tse Apepe nie poruszył się, jego prawa noga bez oporu orała ziemię, obijała się o wystające kamienie. Mężczyźni przystanęli, jeden z nich przytrzymał lekki pojazd, gdy drugi zapalał papierosa. Obserwowany obraz nagle się zaćmił, zamazał, ból przeszył klatkę. To tak się zjawia, czemu tak boli, może minie, przejdzie, „panno Krysiu, niech panna tak nie patrzy, to zaraz przejdzie, to ...”

Wojciech Piotrowski



Andrzej Walter

Skok w ciemność

O poezji Jarosława Zielińskiego

Jak się rodzi poezja? Skąd się ona bierze? Gdzie tryska to wyjątkowe źródło źródeł? Dlaczego kiedy umiera poeta – umiera cały świat... Nie wiem. I nie dowiem się. Ani Ty się tego nie dowiesz – drogi Czytelniku. Ta, najwspanialsza z możliwych odpowiedzi, poezję pozostawia poezją. Pytania pozostawia pytaniom, dla samego smaku ich zadawania, a życie pozostawia życiu. Fatalnie, kiedy młody, zdolny poeta przekracza barierę śmierci. Kiedy tak niecierpliwie czekamy na Jego nowy wiersz i już wiemy, że go nie znajdziemy. Są jednak ludzie na tym świecie, którzy intuicyjnie czują, że poza barierą śmierci też można napisać wiersz. Tylko jak go przeczytać?

Życie jest... jak słowa i linie. *Słowa ułożone w linie z wiersza „Zadanie”. Oto zadanie na dzisiejszy wieczór: / zamień na słowa ulotne cienie / daj im nieskończone życie / pośród wąskich rzędów liter / zaklętych w nich lat (...)* Poeto – władco z narzędziem słów zdolnych zabijać i stawiać pomniki / Podaj mi na tacy swój nowy wiersz / słowa ułożone w linie – (...) – przeczyć tylko / wypełniasz swoje zadanie.

Jarosławowi Zielińskiemu śmierć w okrutny sposób przerwała wypełnianie Jego zadania w środku gorącego i upalnego lata 2012 roku – czytamy w posłowniu do tomu poezji Jarka pod tytułem „Słowa i linie”, a poczynionym przez mojego przyjaciela Stanisława Grabowskiego. Wcześniej jednak, bo już w szkole podstawowej, zaczął pisać wiersze. To przypadek, jak twierdził Iredyński, która przytrafia się wielu uczniom. Ci, którzy z niej nie wyrastają, zostają poetami. Należał do nich Jarosław Zieliński. Należymy i my. Nie wyrosliśmy z tej... Przypadłości. I już zawsze będziemy stawiać to jedno przykre i zasadnicze pytanie, o ten okrutny czas przeszły – i nieodwracalnie dokonany. W dłoniach trzymamy tomik wyjątkowy, jego wyjątkowość potwierdza jego ostatniość. To „Słowa i linie” Jarka Zielińskiego – *pamiętka pamiętek* – jak pięknie ujął to Piotr Matywiecki we wstępie – a jeśli *Ten Pożegnany pozostawił po sobie poezję, to jej emocjonalna treść staje się znakiem wzmożonym...*

I w wymiarze tych słów czuję ogromny żal, jakąś wielką tęsknotę i potężną pustkę, że więcej tych nigdy nie napisanych wierszy Jarka nie poznamy, a poznaję i czytam, i przeżywam jedynie te – bardzo ciekawe, które

znalazły się w ograniczonej i zamkniętej przestrzeni tego właśnie tomu. Poeci bowiem są niczym winny szczerp. Dojrzewają na południowych stokach Arkadii, aby jesienią zebrać obfity plon mądrości. Winobranie musi nastąpić jak najpóźniej, a szlachetność trunku was zadziwi. Tak się działo i dzieje zawsze. Musimy zatem do poezji Jarka przyłożyć inną miarę. On dopiero wzrastał. I do tego wzrastał pięknie. Można tu przywołać wiersz Piotra Matywieckiego z tomu „Widownia”, pod którym i my byśmy się z Jarkiem podpisali. Piszę to tak pewnie, gdyż Jarek był prawie moim rówieśnikiem. Byśmy, byśmy... gdzieś, kiedyś, pod gwiazdami...

A wiersz pana Piotra jest bez tytułu i zamyka tom „Widownia: z 2012 roku:

*wiersze pisałem prosto i otwarcie –
zanim coś powiedziały wysłuchały się same*

*dlatego nie słyszano ich
uważano za zbędne*

*dzisiaj je sprawdzam –
przykładam ucho do słowa*

*abstrakcji nie słysząc głoski są bez znaczenia
samotne oddechy chodzą linijkami*

*odwracam wiersze milczeniem do ludzi –
wszystko słysząc*

Przykładam zatem ucho do słów Jarka. W nich również Wszystko słysząc. Życie i miłość, i tęsknotę, która rodzi poezję, tę odwieczną melancholię niespełnienia, ten gnieźdzący się pod skórą żal, to pragnienie dotknięcia niedotykającego... Wszystko słysząc. *Samotne oddechy* Jarka, outsidersa, informatyka, politologa, polonisty, redaktora, wykładowcy... poety.

*Czy wiesz, że pewnie się już nigdy
nie spotkamy, nie będziemy znać (...)*

Skąd to wiedziałeś Jarku? Skąd ta pewność... A jednak się spotkaliśmy. Wypełniłeś swoje zadanie i słowa ułożyły się w linie...

*A ja mogę ci tylko dać pustą kartkę
papieru – na której zapiszesz wszystkie pytania
do twojego Boga, te wielkie i te zwykłe*

*Po co mi ta kartka, pytasz, jeśli nie mam
adresu, nie mam znaczka, ani nawet dość siły, by
odnieść ją do skrzynki*

*Cóż, ja też nie potrafię jej wysłać stąd
trzeba udać się w podróż*

Nasza podróż – ta podróż – jest niejako wspólna. Wnikam w Twoją poezję i czuję twój żal, okrucin niepokojów, marzenia o szczęściu i radość piękna. *Rankiem... zwykle czuję, / że muszę zrobić / coś by Bóg we mnie uwierzył...* Czuję też ogród smutku, nasz trud w otrzymywaniu przepustki do świata, nasze burze oraz tańczące błazny. Jest jakaś jednia naszego pokolenia. Zbieżność odczuwania przy całej różnorodności form i wyrażaniu w odmienny sposób tych samych lęków i pragnień. Tych samych marzeń i oczekiwań. Jednia podobieństwa, komplementarność odczuwania naszych miłości i naszych nadziei. Dylematów wiary i zaufków niepewności.

*Ukrywaj się ...
Kochaj w milczeniu
w cieniu przydrożnych wierzb
(...)
Żyj tak
aby nikt nie poznał twych tajemnic
A gdy nie potrafisz już
utrzymać ciężaru świata
Jest jedno wyjście
skok w ciemność ...
lot do gwiazd?*

Ileż już było tych skoków w ciemność? Ile lotów do gwiazd. Przy czym po lotach do gwiazd postawiłeś pytankę. Tylko poeci bowiem patrzą w gwiazdy, nawet ci, którzy wierszy nie piszą. Bo bycie poetą to stan ducha, ekstaza świadomości, a nie poza jakże często i manierycznie przybierana przez wielu piszących. To skazanie się na inny wymiar. Na wieczną odyseję w pewnym rodzaju cierpienia i na przekór życiu czy bólowi, którego nam dostarcza. Bycie poetą to odwieczna potrzeba pochylecia się nad drugim człowiekiem, walka siebie z samym sobą, z własnym egocentryzmem, odczuciem pustki i przyływym pełni. To walka na śmierć i życie oraz o życie poza śmiercią – w do niej zmierzaniu. To jaskrawe obnażanie ran i lizanie ropiejących śladów świata pod prąd własnego istnienia.

Poeta to ja, ja, i ja, ale również świat, który jest zbyt mały, a jednocześnie zbyt ogromny i nazbyt fascynujący. To stan pomieszania spełnianej misji z innym sposobem widzenia rzeczy najmniejszych, najprostszych i najbardziej kruchych. To ciągła podróż w głębinę świadomości oraz poza tę świadomość. Niewiara w czas oraz prawa fizyki. Niewiara w brutalność, siłę i przemoc. Ciągłe szukanie... linii i słów. Rebus. Układanka. Projekcja własnego przemijania oraz intensywne przeżywanie kruszenia się tego świata. Mistyka sensu mieszana z bezsensu oraz podążanie za światłem, aby częstokroć pograć się w ciemności. Ten skok w ciemność zawsze jest skokiem ostatnim, ale i nieodrodnie pierwszym. Paradoks pisania zakaził cię Jarosławie mocno. Nieuleczalnie wręcz. Głęboko. Czytałem to w tych wierszach i wręcz odczuwam. Namacalnie. Dotykalnie. I bardzo blisko.

Nawet zazdroszczę ci – Jarosławie Zielińskiemu, że mając siedemnaście lat napisałeś taki oto wiersz pt. *Ja*:

*A może jestem tylko samotnym wędrowcem
ciemną sylwetką w świetle latarni
I nikt nie ujrzy mnie płaczącego
nad grobem przyjaciela
Nie mam przyjaciół – i nie umiem płakać*

*Jestem głosem waszego świata
waszych myśli ...
małym chłopcem zastygłym w biegu
niedorosłym, choć widzącym tak wiele
by bieg stał się wiecznością*

*Wy, którzy chcecie mnie wysłuchać
chcecie mnie odnaleźć
Usłyszeć mnie
ale odnajdziecie tylko siebie*

Wydaje mi się, że kiedy miałem siedemnaście lat nie byłem aż taki mądry. Taki przenikliwy. Nie tworzyłem słów w tak wytrawne linie. Tak teraz odczuwam, a jednocześnie wiem, że dostałem od Boga Poetów więcej szans. Po prostu – wciąż żyję. Moje linie były wówczas bardziej liryczne, naiwne, ogarnięte samotnością i oddaleniem. Może głupsze, albo inaczej skakałem w tą ciemność. Może też to inna ciemność była. Ciemność moich doświadczeń, mojego dzieciństwa... Ty wniknąłeś w świat mocniej. I to się, niestety, potwierdziło. Nadeszło. I jest. Świat zdehumanizowany, który detronizuje człowieka.

*Wy, którzy władacie młodością: oddajemy wam
duszę i ciało (...)*

Zgodzę się jednak ze Stanisławem Grabowskim. Nie ma w tych wierszach rozpacz. Jest tylko smutek. To nawet nie jest ten dzisiejszy smutek, owa żalność nad konającym Bogiem. To smutek niewyjaśniany, odwieczny, przewlekły smutek poety:

Smutek

Jest smutek wielkiej miłości

*i gorzki smutek rozstania
smutek psa wężącego
daleki trop pana
Ale najbardziej boję się
smutku spełnionych marzeń
Tamte – przejadą, zaginę
tyle czasu przede mną
Na cóż jednak życie
gdy smutek spełnionych marzeń
wciśnie się w serce*

To głęboka filozoficzna myśl, potężna refleksja, iż sensem naszego życia nie jest spełnianie marzeń tylko ich posiadanie. Nie jest doznawanie, tylko łaknienie, nie jest doganianie tylko sam bieg... To wielkie i ważne słowa. Mocna prawda o szczęściu, możliwości jego znalezienia oraz całej gamie barw jakie owo szczęście posiada. Takich wierszy spoza „Słowa i linie” znajdziemy więcej. Trudno ogarnąć i wnikać w całą poezję Jarosława Zielińskiego. Zostawmy część doznań Czytelnikom. W tym miejscu powróć do zdania, które napisałem na wstępie. Otóż są jednak ludzie na tym świecie, którzy intuicyjnie czują, że poza barierą śmierci też można napisać wiersz. Tylko jak go przeczytać? Otóż można – jeśli się chce – go przeczytać...

Rodzice Jarosława Zielińskiego znaleźli sposób na to czytanie Jego wierszy spoza granicy Życia i Śmierci. Powołali Fundację, która obejmuje patronat nad konkursem poezji. Ma w planie i wiele innych działań. Rzesza ludzi została przez nich zmobilizowana do działań społecznych na rzecz pamięci o Jarosławie, ale i jednocześnie działań dla poetów i Poezji. Słowem – dla nas wszystkich. To po prostu piękne. Muszę ci zatem przekazać – drogi Jarosławie, że księga twoich wierszy nie zamknie się глуcho. Twoich słów, które ułożyły się w linie, nie pokryje kurz niebytu. Wsperzesz nowe pokolenia poetów, dodasz im otuchy, uleczysz z osamotnienia. Było warto to wszystko przeżyć. Żyć, aby pisać, i pisać aby żyć. Jest jak w Twoim wierszu „Rzeźbiarz”...

*Nie powiem ci nic o początku
ginie w mrokach pamięci – zapisz to, ładnie brzmi...*

*(...)
Krzywisz się
wiesz, ja może myślę tak jak wtedy
chciałeś to usłyszeć – czyż nie tak...*

Nasze pokolenie jest pokoleniem przełomu. Byliśmy tam – a teraz jesteś tu. Powoli i tu zaczyna być jak tam. A ja najbardziej boję się... spełnianych marzeń. Boję się ich karlenia, kurczenia, ich degradacji. Dziś coraz trudniej pisać, coraz trudniej publikować, wydawać i nawet żyć, w naszym zagmatwanym literackim świecie. Może właśnie Tobie miało to zostać oszczędzone. My zmagamy się dalej z narastającym absurdem tego Istnienia. Słowa wciąż układają się w linie.

Pozostało nam jedno. Skok w ciemność, a potem może i lot do gwiazd.

Tym razem już bez – mocno postawionego – znaku zapytania.

Andrzej Walter

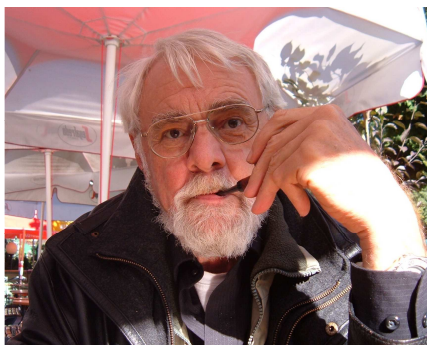


Andrzej Bartyński

Aqua Marzenna

Nad senniejącą wodą Milczących Ust
pod tytoniową lodygą letargu
zapamiętałem rozmarzeń naszych plusk
zeleniejący na bombajce czasu
A na piętnastu rubinach
wirują kółka w moim zegarku
powstaje godzina – dąb ją usłyszał
nadstawia ucha bajkom
Na perskim rynku pachną dziewczęta
i w koszach zerwane cytryny
jak tłum motyli płyną derwisze
w brodatych turbanach nargilli
Delirium tremens to białe myszy
nad rzeką z rumem jamajka
w piasku się bawi w dziećmi bazyliżek
i wulkan dymi jak fajka
U smukłej kobiety koloru kawy
wybrzeżem nocy kochanek się zjawił
przez biodra przejdzie tygrys płomieni
zjadaczów brzoskwiń w burze zmieni
A z Monte Carlo śpiewa Murzyn
że słońce jest jak wielki bursztyń
że kocha swoją czarną muzę
o hej ja hej jak Murzyn
W zatoce pereł mruć fale
palacze opium dziwnie śnią
skradziony księżyc na tapczanie
w cyrku się śmieje Din i Don
W cygańskim mieście wśród namiotów
wyrosłem na apasza gwiazd
całując morelowe oczy kocic
ogniste oczy moich snów
splatałem im w lubieżne sploty
włosy ze stu moich wróżb
W cygańskim mieście wśród namiotów
Liszt kampanelle swoje grał
i Aleksander stał Gierymski
w pomarańczarki towarzystwie
Kto wśród magnolii posąg wymyślił
na cześć rozpasanej bachantki
kto się miłością spił w nieprzytomność
poeta znad pustej szklanki
Wtem się rozplątał na pachnąco
czerwony goździk z krwią gorącą
tuż za „Altaną” Aleksandra
O gwiazdo cygańska
Cyganko z Szopenowskiego walca
złota dziewczyno skąpiana w astrach
córko Gounoda
oblubienico Petrarki i Fausta
Na oblakany turecki bez
na rozedrgane żółte tulipany
swą krew bym zgarnął diabłu w gardło
za muzykalność
najdoskonalsze mi zwierciadło
Za ludzką rzecz

Zamyślenia



Polska, ale jaka? (5)

Ciąg dalszy wywiadu Kazimierza Iwossé z ks. dr. Ryszardem Iwanem z Augsburga

Kazimierz Iwossé: – *Zmianę systemu społeczno-politycznego w naszej Ojczyźnie – przede wszystkim, wprowadzenie zasad demokracji w życiu politycznym, gospodarki rynkowej i pluralizmu kulturowego w życiu społecznym – domaga się odpowiedzi na pytanie o aktualny zakres obecności Kościoła w życiu publicznym. Czy można tu mówić o jakimś nowym programie, który wykreśli linię długodystansowej, sensownej i twórczej posługi Kościoła wobec pluralistycznego społeczeństwa?*

Ks. Ryszard Iwan: – Byłbym raczej powściągliwy w używaniu terminu „nowy program”. Nie ma i nie może być mowy o jakimś radykalnym podejściu czy raczej przejściu od programu kard. Wyszyńskiego do programu śp. kard. Glempa. Jak wiadomo oba te programy cechuje pewnego rodzaju ciągłość i zbieżność. Nowość programu, jak zauważył to J. Lewandowski, wynika stąd, że Kościół prymasa Glempa „zyskał nowe treści narodowego posłannictwa” („Przez sprawiedliwość ku miłości. Nauka społeczne kard. Józefa Glempa”, Wrocław 1991, s. 116). Lata osiemdziesiąte odsłaniają ich ogromne bogactwo. Przełom ostatniego dziesięciolecia, zapoczątkowując istnienie wolnego i demokratycznego państwa polskiego, jeszcze bardziej je poszerza i różnicuje. Na kartach tej książki, która prezentuje kilkanaście wywiadów i rozmów, były sprawą swego czasu omawianą i szeroko dyskutowaną. Tu warto zaznaczyć, iż niektóre problemy dotyczące obecności Kościoła w pluralistycznym społeczeństwie są „jakościowo” inne w porównaniu do czasów komunistycznych i nie mogą być tylko teoretycznie rozwiązywane.

Kazimierz Iwossé: – *Rozumiem, wracamy więc do form konkretnej posługi Kościoła wobec człowieka. Dodam, że jest to dobry wybór, gdyż właśnie służba Kościoła zawsze i wciąż potwierdza jego uniwersalną i niepo-*

dważalną obecność w życiu społecznym. Jakże wyraziście mówi nam o tym papież Franciszek.

Ks. Ryszard Iwan: – Właśnie. Wydaje się, że teorii o Kościele mamy w Polsce za dużo. Grozi nam „przegadany” Kościół, a przecież Kościół należy „przerabiać”, w nim i z nim żyć. Przyczyn takiego stanu jest wiele. Pominę je, bo są powszechne i znane. Wydaje się, że Polski demokratycznej, może raczej demokratyzującej się, nie ominą pewne procesy oraz zjawiska społeczne, charakterystyczne dla pluralistycznego świata. Nie ominą i nie omijają, jak to zauważamy. Oczywiście, pewna polska specyfika związana z naszą mentalnością jeszcze długo się utrzyma. Prawdę powiedziawszy, nikt nie zna dzisiaj w Polsce recepty na „dolegliwości” Kościoła i narodu. Niweczy ją frustracja i rozczarowanie samego Kościoła. Kto wiec będzie „lizał rany” demokratycznego społeczeństwa – żeby przywołać słowa kard. Wyszyńskiego – skoro Kościół „krwawi”? Cóż, ciągle potrzeba nam więcej optymizmu i otwartości. Kościół musi stawać się zwyczajny, ludzki, ciepły, zbratany z człowiekiem. Od strony Zachodu (ciągle niepotrzebnie podkreślamy to słowo). Otóż stamtąd widać, jak Kościoły w społeczeństwach pluralistycznych potrafią szeroko otwierać podboje dla ludzi potrzebujących (a tych jest coraz więcej). Nie chodzi o potrzeby materialne, bardziej o wizję Kościoła jako domu ciepłego, przytulnego, który w najrozmaitszy sposób pochyla się nad człowiekiem, akceptuje go. Przygarnia i podnosi. Nędze społeczeństwa pluralistycznego są wielorakie. Zaradzić tu może szeroko pojęta i urzeczywistniona ewangeliczna *praxis* Kościoła, która w ich morzu potrzeb, potrafi wydobyć i ocalić choć iskry godności człowieka, wlać w serca nową nadzieję. Nie zapomnę słów kard. Wyszyńskiego, wypowiedzianych do ogólnopolskiej pielgrzymki pisarzy i pracowników słowa na Jasnej Górze, 4 maja 1958 roku: „Wam przystoi inne podejście i lepsze zrozumienie naszego zadania: widzę rany, okrywam je płaszczem i choćby własnym językiem wylizuje. Jestem psem mojego społeczeństwa i Narodu. To jest zadanie literatury, twórczości słowa: rany leczyć, a nie rozgrzebywać! Chronić przed infekcją choćby ze cenę służby osobistej, jak najbardziej drastycznej, by słowo wszędzie ciałem się stało”. Czyż nie jest to wspaniały program Kościoła w młodej, polskiej demokracji, jakże ułomnej jeszcze, jakże słabej?



Fragment wydanej ostatnio powieści pt. „Garść nieba, garść piekła”

Wróciłem do swojej noty gdzieś koło północy. Jeden z tutejszych szczurów. Rzuciłem się na wyrko tak, jak stałem. Byłem głodny, ale nie miałem nic do żarcia. Leżąc, czekałem na kolejną wojnę mając nadzieję, że jak przystało na dobrego żołnierza, znajdę się znów w wojsku. W mojej sytuacji byłoby to najlepszym wyjściem. A może byłem na to za stary? Szkoda, że ten gliniarz, nie przekwaterował mnie do pięciogwiazdkowego lokum, miałbym święty spokój, wikt i opierunek. Leżąc tak myślałem, że najwyższy czas zapomnieć o wszystkim, szczególnie zaś o tym, że stałem się ciężarem dla samego siebie, nie licząc innych. Myśląc zatem o jakiejś, następnej wojnie światowej, chciałem zapomnieć o tej poprzedniej. Przy okazji zastanawiałem się, czy to wszystko naprawdę wydarzyło się w moim życiu. Tylko taka niepewność czasami bywa właśnie pewnością, ale jeszcze do mnie to nie dotarło. Nade wszystko to, co dalej, do diabła?! Co dalej?! Czy ktoś z was powie mi, co dalej? A może właśnie pewnym jest i będzie, że nic się nie zmieni i będzie tak, jak było? Jutro stanę w drzwiach okazałego domu Kremfa i Willy powie mi, dlaczego nie wysłałem depeszy, że wracam. Koszmar. Więc lepiej go nie odwiedzać, nie przypominać się, gdyż tacy, jak on zapewne już posprzątał po tej wojnie, gdyż mieli sporo czasu, nie biorąc w niej udziału. Warto było też podziękować za tych paręset dolarów za zaległe honoraria. Z drugiej strony jeżeli jeszcze miał drukarnię, mógłby wydać dzieło ojca Erica, tłumaczenie Biblii na język, a właściwie narzeczę jednego z afrykańskich ludów. Ślęczałem parę dni nad słowem wstępnym, oczywiście w języku niemieckim. Ale znając Willego, nie spodziewałem się tego po nim. Obiecałem to ojcu, więc będę musiał rozglądnąć się za innym wydawnictwem. A może Willy mógłby załatwić dla mnie jakąś robotę? Pamiętałem, że na froncie Stanley zamartwiał się o robotę, a przecież „Wolna Polska” nie istniała. Czasami pieprzył w okopach: „Nauczono nas tylko zabijać, John. Zabijać, kopać rowy strzeleckie i czekać na rozkazy, które też były zbrodnicze. Długo tak było i wytrzymywaliśmy ten kawał czasu gnicia w błocie i krwi”. Był pewny, że reszta naszych chłopaków zginęła, że leżą tam, we Francji, w niezbyt doborowym towarzystwie. Biedny Stan! Sam tego chciałeś jak i ja, kiedy zamusztrawaliśmy się na ochotnika. Tak było z małym Adamem i Alexem. I jeszcze z innymi... Myślałem o tym wszystkim chociaż intuicyjnie wiedziałem, że najwyższy czas, aby o tym zapomnieć. Długo gniłem na wyrku, potem wstałem i zasiadłem do maszyny, aby dokończyć ten ostatni rozdział książki.

I jak wczoraj, jak wcześniej, odkąd wynajęłam te nore, ten mój cholerny sąsiad z góry zaczął walić pięścią w ścianę. Musiał użyć też jakiegoś przedmiotu, bo to walenie rozbijało mi mózg i bębnił uszu. Mój cholerny rodak, który jeszcze nie był Amerykaninem, a już nie był Polakiem. Przerwałam więc klepanie jednym paluchem w klawisze maszyny, czując jego śmierzdzący oddech na moich plecach. Zaraz też zobaczę jego opasłą gębę w wizjerze i usłyszę jego tubalny, wściekły głos, abym przestał walić w maszynę o tej późnej porze. Odkąd zamieniliśmy lichy hotel z Omorogbe na te suterene, robiliśmy zakupy w tym samym sklepie, czasami zagadaliśmy do siebie uprzejmie, a on zaraz potem wściekał się za to, że lubiłem właśnie nocne posiedzenia nad książką. Więc odpowiedziałem wraskiem na jego wrzask za drzwiami. Kazałem mu się odwalić, bo to moja nora i moja praca. Na moment zatkało go, ale po chwili zaczął mnie pouczać, abym wreszcie zakończył tę swoją bazgranię... „Napisz: Ladies and Gentlemen! The End! Albo jak wolisz; Ende, lub po prostu napisz: Koniec.” I tu pewnie miał rację. Wróciłem więc do swojej starej, zabytkowej maszyny zdecydowany rzeczywiście napisać rozstrzelonym drukiem... Koniec. No, może jeszcze jakieś postscriptum, że nareszcie kupiłem sobie nową fajkę, która właśnie mi zgasła. Zmusi mnie to do dokładnego jej wyczyszczenia i ponownego nabicia, to jeszcze, że zaraz ją zapalę i zaciągnę się wonnym dymem z prawdziwa rozkoszą, która mówi: Życie i nie umierać! Bo w końcu mam jakieś zajęcie, do cholery! I to chyba już wszystko, co miałem wam do powiedzenia...

Kazimierz Iwosse

Niech cię chwali nasza miłość

Historia i teoria literatury bardzo wysoko stawia erotyki. Poezję miłosną uprawiali najlepsi jeźdźcy pegaza. Erotyzacja współczesnego życia nie jest w dziejach ludzkości niczym nowym; wszechobecny erotyzm święcił tryumfy w Rzymie za cesarstwa, w Bizancjum, w renesansowych Włoszech, w przedrewolucyjnej Francji. Maria Pawlikowska-Jasnorzewska swą niesłabnącą popularność zawdzięcza głównie pięknym erotykom. Wybitnym autorem erotyków był również Kazimierz Przerwa-Tetmajer, chociaż obca może być ich dekadencja atmosfera.

Mieszkający w Nowym Jorku poeta **Tadeusz Chabrowski**, laureat wielu prestiżowych nagród, m.in. Nagrody World of Poetry Press, kandydat do lauru noblowskiego, wydał ostatnio tom wierszy pt. „Vermont”. Są to erotyki osadzone w realiach współczesnego czasu. Ich liryczny bohater w sposób daleki

od erotycznego schematu i banału opowiada o swych namietnościach i pożądaniu kobiety. Jakby z pewnej oddali wpisuje się głos psalmisty:

Bądź wola Twoja Wszechmogący Panie, chwałę Cię gwiazdy i przestworza, niech Cię chwali nasza miłość.

Męczyzna musi walczyć o tę miłość, musi ją zdobywać. Prawdą bowiem jest, co powiedział św. Augustyn, że „dopóki walczysz, jesteś zwycięzcą”.

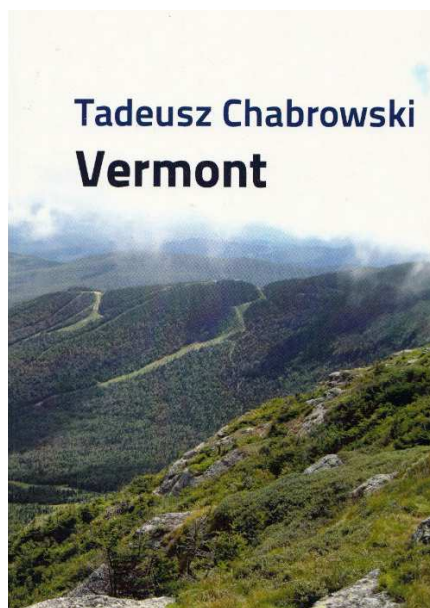
Izabela Barry w posłowie wyjaśnia tytuł tomu wierszy Chabrowskiego. Otóż Vermont to stan w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, którego nazwa prawdopodobnie pochodzi od francuskiego les Verts Monts – zielone wzgórza. To właśnie tam, wśród łagodnych pagórków, pokrytych roślinnością, wśród skał, których chemiczny skład nadaje im zielonkawą barwę „dzieją się” nowe wiersze Tadeusza Chabrowskiego. Ale w sumie są one symetryczne do owego Vermontu.

Trzeba być arcymistrzem słowa, aby dzisiaj w zbrutalizowanym świecie, przepełnionym wulgaryzmami pisać erotyczną poezję. Fascynuje erotyzmem u Chabrowskiego, zachęca do poszukiwań nowych treści w miłości. Można być odkrywcą, któremu obca będzie rutyna. Powinno nam towarzyszyć nieustannie: zdziwienie, o którym poeta pisze:

*Zdziwiony – powiem, co czuję
gdy jestem z kobietą:
chcę wypełnić echem ulicę
po której teraz chodzimy,
chmurę która wisi nad miastem
chcę zepchnąć do morza,
poprosić kamienie,
żeby usunęły się z drogi.*

(„Zdziwienie”)

Emil Biela



Tadeusz Chabrowski, „Vermont”. Wydawnictwo „Mamiko”, Nowa Ruda 2013, s. 64.

Derywacje

Słowa są nie po to, by gęba miała zajęcie. Mają służyć nie tylko do ciurkania elokwencji, ale i do odzwierciedlania tego, co się ma zamiar powiedzieć. Jednakże między powiedzieć a powiedzieć, rozpościera się otchłań różnic. Można coś tam wyrazić, nie uzyskawszy żadnego rezonansu. Dzieje się tak, gdy język jest konwencjonalny, drętwy, mało elastyczny, nie zmusza do przetwarzania skojarzeń, zadowala się stwierdzeniem gołego faktu, nie rodzi konkluzji, a człowiek, po przewentylowaniu takich myśli, nie chce zgłębiać, co skrywają pod podszewką.

Lecz są słowa przeciwne do tamtych: ruchome i rozhuśtane.

Kiedy w zdaniu znajdziemy takich kilka znaczeń, nawet pozornie sprzecznych ze sobą, wręcz rządzących się nieznanymi prawami, to nagle się okazuje, że zbudowane z nich zdanie zawiera w sobie nowe barwy i nieprzewidywalne sensy, że tym samym są bogatsze, różnorodniejsze, ciekawsze, że są istotne, ponieważ sprawiają, że zwykła myśl, uszarpiana własną miernotą, płytka i „jednowymiarowa”, dzięki owym zbitkom lub skojarzeniom słów, zaczyna wyłazić na powierzchnię w zupełnie nowej szacie: kielkuje prawdami, których nie podejrzewalibyśmy na wstępie.

Mówiąc krótko: niektóre są bezpłodne, bo pojedyncze, a inne – składane jak teleskop.

Gdy używamy pierwszych, jesteśmy szabloności i kołczemy z poprawności. Lecz jeśli posłużymy się słowem teleskopowym, znajdziemy się wśród barw, które nie są przedawnione, zastarzałe i passe, a nasza wyobraźnia uwolni się od stereotypów. Przeniesie do krain zbudowanych z nowych zafrapowań, nowych pytań i nowych odpowiedzi. Odłoni przed nami las, a nie tylko skupisko badyli.

Marek Jastrząb

Damian Skawiński

Antena

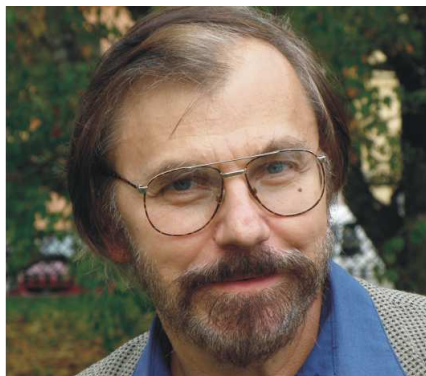
Zdzisław Beksiński, *Obraz bez tytułu* (1983/5)

Na używanym krzyżu, przerobionym na maszt wisi szkielet i przez czaszkę przyczepiona antena.

Odbiera cyfrowo grzechy, przesyła zbawienie wysokiej jakości, wzmacnia sygnał wiary

tym, którym dekalog śnieży na otwartym kanale sumienia.

Listy do Pani A. (73)



Dusioły i matoły

Droga Pani!

Byłem pod Warszawą na spotkaniu wspomnieniowym poświęconym cici Hani Schupp, o której wspominałem Pani wcześniej. Była to osoba niezwykła, wielkiej delikatności, wrażliwości i kultury. Takich ludzi już się dzisiaj prawie wcale nie spotyka. Wszystko odbywało się w domu jej siostrzeńca. Zebrała się rodzina i znajomi. Gwoździem spotkania był pokaz zdjęć. Przedwojennych, późniejszych i całkiem współczesnych, a także nagranie ostatniej rozmowy z Cicią. Oglądałem i słuchałem z wielkim zainteresowaniem, a zarazem z melancholią, że oto świat sprzed osiemdziesięciu lat już zniknął zupełnie, a tamtych ludzi, jeszcze młodych, pełnych radości i planów na przyszłość, już nie ma. Pozostały stare fotografie, wspomnienia, żal. Jednak gdybym żył w tamtych czasach, to już by i mnie nie było, nawet jeśli udałoby mi się przeżyć koszmar wojny, a także czasów tuż powojennych, kiedy wyrzucano ludzi z ich rodzinnych gniazd tylko dlatego, że należeli do takiej a nie innej klasy społecznej. Są to sprawy na pewno dobrze znane Pani z rodzinnych opowieści.

To prawda, każdy rodzi się w swoim momencie, który jest dlań najodpowiedniejszy, aby mógł owocnie funkcjonować, spełnić swoje zadania i... mieć to irracjonalne poczucie, że nie odejdzie. Tak bardzo jesteśmy przywiązani do tej formy bytowania, że nie możemy sobie wyobrazić czasu, kiedy nas nie będzie, bo... będziemy zawsze. I oni tak myśleli, i my myślimy tak samo.

I zaraz powrót do rzeczywistości. Literackiej. W kawiarni „Antrakt” Marlena Zynger zorganizowała już kolejne, trzecie spotkanie z okazji ukazania się najnowszego numeru kwartalnika „LiryDram”. Przyszło sporo osób. Wypatrywałem pośród nich Panią, a nawet zdawało mi się, że siedzi Pani przy dalszym stoliku. Kiedy jednak spojrzałem po raz drugi, stół był pusty.

Były przemówienia, występy. Najdłuższy z nich to monodram w wykonaniu Grzegorza Walczaka. Zaprezentował on „Taniec z Dusiołem”, czyli baśniowy poemat złożony z kilku związanych ze sobą sekwencji: narracji poetyckiej dotyczącej postaci Dusioła, leśnego duszka. Postać tę do literatury wprowadził Bolesław Leśmian. Mamy tu także dialog erotyczny pomiędzy leśnym kozłem, satyrem a pełną zmysłowości dziewczyną, poetycki opis śmierci, romantyczną Balladę o

potoku. Wszystko to w stylu, rzecz by „ludowo-leśmianowskim”, ale obok wątku erotycznego dochodzą tu do głosu elementy metafizyczne, egzystencjalne, eschatologiczne. Wykonawcy towarzyszyła na flecie Bożena Sitek. Potęgowało to nastrój i podkreślało emocje występujących w utworze postaci, jednocześnie wydobywając elementy uniwersalne. Inscenizacja ta, choć trwająca dosyć długo, dobrze się wpisała w tematykę kolbergowsko-ludową, jeśli tak można powiedzieć, trzeciego numeru kwartalnika.

Swoistym gwoździem programu był występ Hanki Wójciak, góralki, redaktorki radia Kraków, a przede wszystkim dziewczyny obdarzonej fenomenalnym głosem. Odśpiewała kilka pieśni własnego autorstwa na motywach góralskich. Kiedy jej dźwięczny, silny głos zabrzmiał w „Antrakcie”, zachwycił wszystkich. Potem zaprosiła zgromadzoną publiczność do odśpiewania razem z nią krótkiej góralskiej przyspiewki, co po kilku próbach zabrzmiało dosyć udatnie ale przede wszystkim wesoło.

Jeszcze od tego spotkania nie minął tydzień, jak przyszedł pierwszy dzień lata. Aby się od razu wprowadzić w nastrój wakacyjny, posłuchałem sobie pierwszej audycji „Lata z radiem”. Polka „Dziadek” grana zawsze na początku każdej części audycji nieodmiennie kojarzy mi się z pobytem urlopowym poza Warszawą. Podobnie jak sygnał RMF FM. I znowu się rozmarzyłem, że już jestem gdzieś na Mazurach, albo Kaszubach. Pani ma także swoje ulubione audycje? A może te same?

A potem impreza „wiankowa” nad Wisłą. Ja tam wianka nie mam, ale Joasia uparła się, żeby iść, bo będą koncerty różnych zespołów, pokazy baloniarskie, fajerwerki. Poszła sama wczesnym wieczorem i umówiła się z nami, że około dwudziestej drugiej przyjedziemy, aby potem spotkać się i wrócić samochodem do domu. Wyruszyliśmy więc z Anią o naznaczonej porze. Oczywiście, nie było gdzie zaparkować, zrobiłem kilka rundek, wreszcie pojechałem na „drugi krąg” czyli dość daleko od Podzamcza, gdzie odbywały się koncerty. Wszyscy pchali się jak najbliżej, jeśli by mogli, to by wjechali na estradę. Powiedziałem, że dla nas dojsie na miejsce nie stanowi problemu, bo nie jesteśmy – jak to określiłem – ołowianodupcami. Potem okazało się, że z tym oddaleniem to był pomysł genialny, bo kiedy wszyscy zaczęli wyjeżdżać to zrobił się tumult i zator.

Kiedy przyjechaliśmy koncert już trwał. Było bardzo dużo ludzi. Obsiedli też całą skarzę. Ruszała się jak głowa podczas ataku wszwawicy. Tak dosłownie to wyglądało, bo nie była dobrze oświetlona. W ciemności cała „chodzila”. Przy estradzie też tłumy, ale tuż przy wejściu było dosyć luźno.

Przeglądałem się publiczności. Obok ładnych dziewczyn oraz przystojnych młodych ludzi widziało się łyse karki na krótkich, pałkowatych nogach i straszliwe kaszaloty. Jednak wszyscy słuchali i bawili się kulturalnie, żadnych zadem nie było, zresztą ochrona była widoczna. Niektórzy tańczyli obok estrady, niemal wpadali w amok. Zespół już przestał grać, a oni jeszcze trzęśli się jak w konwulsjach.

Bardzo efektowny był pokaz fajerwerków. Wydawało się, że wybuchają tuż nad głową, choć odpalano je chyba na drugim brzegu Wisły.

Mnie osobiście obce są takie ludyczne imprezy, tłum, głośna muzyka, którą czuje się wewnątrz całego organizmu niczym uderzenia młota. Myślę,

że Pani również nie jest miłośniczką takich rozrywek. Ale tak już bywa. Jednego śmiesz cyrk, drugiego Dostojewski.

Wróciliśmy do domu około pierwszej w nocy. Zrobiło się zimno, padał deszcz. Jednak nie żałuję, że tam byłem. W ten sposób dotyka się fragmentu innego życia, z którym na co dzień nie ma się do czynienia.

Życia dosyć zwariowanego. Infantylni chłopcy od polityki gadają głupstwa, inni to nagrywają, przy czym nie ważne jest kto i co wygaduje, tylko kto nagrywa. Jak w szkole podstawowej, kiedy tropi się skarżypytów, a nie tych, którzy, dajmy na to, wybili szybę. Taki właśnie jest poziom tych wszystkich cwanych głupków. Ta przepychanka oddaliła zamieszanie wokół idiotycznych wyznaniowych pomysłów. Chyba jednak w tym wszystkim chodzi głównie o pieniądze. A tu już słyszę, że jakiś biskup chce stworzyć coś na kształt indeksu pism zakazanych. Katolikowi będzie wolno czytać wyłącznie katolickie pisma. Czyżby powrót do średniowiecza, kiedy to przebiegli a chciwi kapłani chcieli podporządkować sobie całe narody? Dobrze w tych czasach nie być katolikiem!

I znalazłem tego potwierdzenie. Otóż w warszawskim Teatrze Nowym miało się odbyć czytanie „Golgoty Picnic”, tekstu przedstawienia, które zostało odwołane w Poznaniu na Malcie. Zebrał się i tutaj spory tłum z krzyżkami i różańcami, ale i piszczałkami, transparentami nawet obraźliwymi, na których były hasła pod adresem „artystów-zboczeńców”. Śpiewano pieśni nabożne, leciały z megafonów zdrowaśki, okrzyki bogoojczyźniane. Oczywiście obecny był ten sam, pożał się Boże, księżulo, który przed Pałacem Prezydenckim chciał odprawiać egzorcyzmy, kilku jakichś kleryków oraz gawiedź o zaciętych, naznaczonych nienawiścią twarzach (o ile to można było nazwać twarzami). Przeważająca większość tych ludzików z pewnością nie wiedziała, o co tak naprawdę chodzi, ale przecież trzeba walczyć o „czystość ojczyzny”, jak głosił jeden z transparentików. Ochraniał to niemal cały oddział policji. Tej samej, która w naszej okolicy czy na posesji nie zdołała wykręcić ani jednego przestępcy. A może to była Milicja Niepokalanej?

Zapewniam Panią, że i Pani – gdyby tam była – równie szyderczo jak ja obserwowała to zamieszanie. Po prostu „dyktatura ciemniaków”, jak się kiedyś dawno i w innym akurat kontekście wyraził Stefan Kisielewski. Ale historia powtarzać się lubi.

Zaraz też czekała mnie podróż na Mazury. Pojechałem z wnuczką Igą, która jest w wieku Joasi. Podróż bardzo przyjemna, chociaż przyjemność tę zatruwały chamy za kierownicą. Uczepi się taki tylnego zderzaka, spycha, chociaż widzi, że nie mogą zjechać na prawy pas, bo akurat wyprzedzam ciężarówkę. Szybkość ponad setkę, a ten dureń zaledwie kilka metrów za mną. Gdybym musiał przyhamować, to miałbym idiotę w bagażniku. Ale cóż, jedni nie mają mózgu, inni zostawiają go w domu. Niech zabijają się sami. Tak się naród oczyszcza z chwastów.

Czy Pani wyjeżdża na wakacje? Jeśli tak, to życzę dużo słońca, chwil bezstresowych, oddychania świeżym powietrzem, także w metaforycznym znaczeniu –

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Powstanie... Warszawskie...

1 sierpnia 1944 roku wybuchło Powstanie Warszawskie – największa akcja zbrojna podziemia w okupowanej przez Niemców Europie. Przez 63 dni żołnierze Armii Krajowej prowadzili heroiczną i osamotnioną walkę, której celem była niepodległa Polska, wolna od niemieckiej okupacji i dominacji sowieckiej. Mija właśnie 70 lat od tych heroicznych i jednocześnie tragicznych wydarzeń.

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Nie chcę opisywać jak przebiegało samo powstanie, jak do niego doszło, czy było potrzebne, czy też nie. Jakie błędy popełnili polscy ówcześni politycy i dowódcy wojskowi, siedzący głównie w Londynie i którzy nie mieli praktycznie żadnego rozeznania w sytuacji w kraju, w Warszawie? Że zniknął nie otrzymaliśmy skutecznej pomocy, że potraktowano nas gorzej niż sprzymierzeńców Hitlera: Italię, Rumunię, Finlandię. (...) Sierpniowe Powstanie Warszawskie z powodu braku skutecznej pomocy upada w tej samej chwili, gdy armia nasza pomaga wyzwolić się Francji, Belgii i Holandii. Powstrzymujemy się dziś od sądenia tej tragicznej sprawy. Niech Bóg sprawiedliwy oceni straszliwą krzywdę...

Na ten temat ukazało się setki książek, więc kto zechce, sięgnie po nie, dokona szczegółowych analiz. Mnie zastanowiło natomiast coś zupełnie innego. Tuż przed rocznicą narodowego zrywu, ukazało się wiele tekstów na ten temat. Wszystkie komentowane nie tylko przez znawców, historyków, profesorów, ale także i zwykłych obywateli. Ciekawa to lektura i wielce pouczająca. Postanowiłem więc dokonać niewielkiego wyboru z morza (a w zasadzie z oceanu komentarzy) zalewających internet. Naprawdę komentarze te dają do myślenia. Często więcej, niż dziesiątki przeczytanych książek...

etos:

Mikołajczyk powinien być rozstrzelany za idio-

tyczną decyzję, za niepotrzebną śmierć i gehennę tysięcy ludzi, za zniszczenie Warszawy! Dzisiaj też politycy szastają głupimi słowami, straszą, eskalują wrogość i niepotrzebne napięcie między państwami!

zdziwiony:

OK, AK chciało powstania. Dążyło do jego wybuchu. Oni chcieli, ale co z ludnością cywilną. To cywile zapłacili największą cenę za mrzonki generałów z AK. Żaden z głównodowodzących nie zginął w powstaniu. Siedzieli w piwnicach. I stamtąd „bohatersko” wysyłali dzieci na czołgi.

obserwator:

Przywódcy powstania generałowie Komorowski (Bór) i Okulicki (Niedźwiadek) powinni stanąć przed sądem wojskowym za tę straszną zbrodnię na narodzie polskim, jakim było powstanie. 220 tysięcy ofiar, miasto stołeczne całkowicie zniszczone. To była gehenna narodu polskiego. Dopuszczenie dzieci do walki nie mieści się w jakichkolwiek annałach wojennych. Dla powstańców chwała po wszystkie czasy, dla przywódców żądanych władzy politycznej, kara śmierci.

Aleg:

Gdyby to haniebne powstanie nie wybuchło to Warszawa nie byłaby obrocona w popiół. Wiele europejskich stolic ocalało, nie wiem tylko dlaczego „polskie” media oraz „polska” ciemnota urzędnicza uparcie honorują ten haniebny dzień?

myślący:

Ma w 100% rację Zybertowicz („Obłąd 44”), to powstanie nie miało sensu, a było zbrodnią spowodowaną przez decyzje polityczne naszych polityków którzy nie troszczyli się o naród. Najważniejsza dla nich była polityka (tak jak i dziś). Liczyli się z tym, jaki będzie skutek, bo wiedzieli o dysproporcji sił. Jego przywódców, którzy podjęli decyzję o wybuchu powinno się postawić przed sądem, a nie czczyć (tak mówił nawet Anders). Idioci siedzący w rządzie londyńskim, oderwani od rzeczywistości skazali na rzeź 200000 ludzi i zagładę miasta, tylko dlatego, że oni chcieli po wyzwoleniu Warszawy powitać w niej Rosjan. Rosjanie by mieli ich w d... i tak by aresztowali akowców. Ale ci głupcy zrobili przysługę Stalinowi, wyróżnili ich Niemcy i powinien im Stalin za to dać medale. Podobno potem po klęsce cywile, którzy przeżyli, pluli nawet na idących do niewoli powstańców za niepotrzebną walkę skutkującą zagładą miasta i ludzi.

Sisi:

Wy wszyscy, którzy opluwacie i oskarżacie tych, którzy się nie wahali oddać własne życie, którym najdroższa była wolność kraju, wy wszyscy, którzy jesteście wychowankami tych, których nazywacie głupkami, zdrajcami, agentami – kim wy jesteście, jak smakuje wam ich życie, które poświęcili dla was?

prawda o powstaniu:

Burżuazja w obronie własnych majątków, zakładów, rzuciła na RZEŻ polską młodzież... Wykorzystano w imię walki z okupantem nieświadomą prawdziwych celów młodzież... dla organizatorów powstania powstańcy byli zwykłym mięsem armatnim, liczył się cel główny... obóz londyński cel osiągnął dopiero po dojściu do władzy solidarności... i jeszcze jedna uwaga: rząd w czasie wybuchu wojny zachował się jak włoski kapitan jachtu,

czyli spieprzył pierwszy i jak Rosjanie prowadzili ofensywę i wyzwalali już tereny Polski, nagle burżuazja postanowiła przejąć władzę w kraju... KOSZTY NIE MIAŁY ZNACZENIA!!! Pierwsi uciekli z kraju, ale... i pierwsi byli już w wyzwolonej Polsce...

ujjjj:

I poszła fala krytyki od wszechwiedzących internautów, tak jakby tutaj każdy z Was miał wtedy broń w łapie i doświadczał mordu bliskich każdego dnia, bez kromki chleba w buzi. Wasza krytyka jest idiotyczna. Bo co można powiedzieć o czasach, w których się nie żyło i o sytuacji, której się nie doświadczyło? Czy uważacie, że ci ludzie, którzy wzniesli powstanie chcieli dobić mieszkańców Warszawy?

tan:

Jestem Ślązakiem urodzonym przed II wojną światową. Urodzony w suwerennym państwie wiem, że Śląsk nigdy nie był objęty akcją zaborczą Polski, bo Polska zrzekła się Śląska w 1335 roku w Układzie Tenczyńskim i to przez króla polskiego nazwanego Wielkim (Kazimierz) z klauzulą Układu: POLSKA ZRZEKA SIĘ PRAWA DO ŚLĄSKA PO WSZE CZASY. Na tymże Śląsku po I wojnie światowej raz po raz wybuchały tak zwane tutaj „powstania śląskie”. Kiedy wspominam Powstanie Warszawskie, kto i kogo miał za wroga – uzbrojonego w artylerię, działa, czołgi, broń maszynową, lotnictwo i zaplecze, to mam łzy w oczach na przeogromne bohaterstwo powstańców warszawskich. Za obraźliwe uznaję, nazywanie „burd śląskich” – na równi z Warszawą. Obrażani są bohaterowie Warszawy!!! Tutaj na Śląsku obraża się także Warszawę przez wybudowanie muzeum „burd śląskich” nazywając je „muzeum czynu powstańczego”. Ja znam nie tylko kulisy powstań, ale także atmosferę tysięcy domów i rodzin śląskich, którzy mieli dosyć śmierci, bólu i żaloby wynikającej ze skutków I wojny światowej. Na burdach śląskich zależało komu innemu aniżeli Ślązakom! Udział Ślązaków był marginalny, wysługiwno się jedynie kilkoma nazwiskami, a kadra oficerska i dowództwo rzeczywiste to obcokrajowcy. Niestety owe burdy sławi się jako ZRYW (dodając: „ludu śląskiego”). Tymczasem ZRYW patriotyczny Ludu Warszawy do walki z potężnym agresorem kwestionowany jest przez liczne rzesze Polaków. Gdzie my jesteśmy!!!!!!

Aragon:

Jeśli macie za głupich waszych przodków i wasze korzenie, ludzi którzy was wychowali, a ich sukcesy, sławiące dobre imię Polski, macie za nic – to kim wy jesteście?

Setran:

Do wszystkich profesorów, znawców, forumowiczów i krytykantów Powstania Warszawskiego. Lepiej umrzeć za ojczyznę podczas walki z karabinem w rękę, niż iść na rzeź potulnie, jak barany.

William:

No i po co było to powstanie? Kolejne zakończone klęską i okupione niepotrzebną śmiercią wielu ludzi... A wygrała i tak polityka ponad głowami umierających Polaków... Chyłę czoła przed bohaterstwem tych ludzi, którzy pewnie do dziś nie rozumiem, że ich patriotyzm został cynicznie wykorzystany dla celów politycznych!

(Dokończenie na stronie 24)

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (48)

(fragmenty)



„Koń jaki jest, każdy widzi” – mówi obiegowe powiedzenie. W przypadku amerykańskiego łososia („a salmon”) jest inaczej. Przeglądałem się mu długo przez oszkloną ściankę. Nie miałem jeszcze wtedy pojęcia, jak złożona jest problematyka związana z tą rybą, szczególnie właśnie w tym zakątku Ameryki. Alternatywa: łosoś czy rolnictwo – staje się tu ważną kwestią z pogranicza ekonomii, ekologii a także kultury.

To uparte stworzenie kryje w sobie wiele zdumiewających tajemnic przyrody. Rodzi się w słodkowodnych rzekach, a potem żyje w słonym Pacyfiku. Tam przez kilka lat rośnie, rozwija się, osiągając czasem wiek 10 lat (a długość nawet do półtora metra), by pod koniec życia powrócić do miejsca tarła i – jak to napisał indiański poeta – „umrzeć w swoim domu urodzenia”!

W błękitnym domku na wzgórzu u Leszka Czuchajowskiego przyjemnie jest posłuchać – przy „Finlandii” – opowieści o łosiosie snutej przez profesora informatyki systemów geograficznych, Poznaniaka z urodzenia, Piotra Jankowskiego...

– Istniało co najmniej kilka gatunków łososia – opowiada Piotr – m.in. królewski, srebrny, soho, sokay i chum – czyli najpodlejszy gatunek: „pies”. Wszystkie wracały z oceanu na tarło do miejsce, w którym się urodziły. Ten powrót przebiegał karkołomną trasą liczącą kilkaset mil. Na przykład łosoś z południowo-centralnego Idaho przebywał drogę pod prąd z Pacyfiku do jeziora Red Rsh Lakę – oddalonego o ponad 800 mil, czyli 1300 km. Tam składał ikry, przekazując swoje dziedzictwo następnemu pokoleniu, po czym umierał. Z kolei młode łososie po osiągnięciu kilku centymetrów długości, jako tzw. palczaki, spływały z prądem rzeki do Pacyfiku, by po paru latach odbyć tę samą drogę, ale już pod prąd, skacząc od czasu do czasu nad falami i przeszkodami... Tak było pod koniec XIX wieku w czasach, gdy do Idaho zaczęli przybywać biali osadnicy. Do jeziora docie-

rało naraz około pół miliona ryb, tak że stało się ono całkiem czerwone od łososi, zmieniających swój kolor w okresie tarła na czerwony (stąd nazwa – Jezioro Czerwonej Ryby). Parę lat temu pojechaliśmy tam z kolegami biologami i doliczyliśmy się raptem trzech łososi. Prawie cały gatunek wyginął z powodu kilkunastu zapór, przegradzających rzeki Columbia i Snake. Odcięto w ten sposób drogę powrotną łososiowi. Aby zaradzić jakoś tej sytuacji, wymyślono przejścia zwane drabiną rybną. Ryby mogą płynąć pod prąd zygzakami i w ten sposób pokonywać sztuczny spadek spowodowany zaporą. Na skutek tego droga łososia wydłużyła się jednak z dwudziestu paru dni do pięćdziesięciu paru. Ryby są przez to znacznie słabsze, kiedy dochodzą na tarło, a i samo tarło jest mniej udane. Wiele osobników ginie, bo nie może znaleźć drogi do miejsca urodzenia...

Piotr opowiada o różnych próbach zaradzenia temu. Przede wszystkim łososie znajdują się pod ścisłą kontrolą, stąd stałe punkty obserwacyjne na zaporach, gdzie się je liczy. Wylawia się też młode łososie i transportuje autami do rzeki w jej dolnym biegu. Powstał nawet specjalny system wylęgu ryb: są sztucznie zapładniane, a po urodzeniu – przewozi się je specjalnymi ciężarówkami prosto do ujścia rzeki wpadającej do oceanu, aby skrócić im drogę. Przetransportowano tak od 1980 roku ponad 10 milionów małych ryb! Bardzo pomocne są komputery, które ułatwiają obliczenia związane z migracją ryb. Istnieje pięć technologii umożliwiających powrót ryb do miejsca urodzenia. Trwają badania i prace nad ich ratowaniem i stworzeniem alternatywnych możliwości przekraczania tam. Wszystkie te zabiegi wymagające wielu zachodów nie mają jednak istotnego wpływu na zahamowanie spadku liczebności łososia. W 1997 aż pięć jego rodzajów umieszczono na liście gatunków zagrożonych wymarciem.

Czy nie należałoby wobec tego zburzyć tamy? Niestety, nie jest to możliwe. W tej części Ameryki kwitnie rolnictwo i to właśnie dzięki tamom. Na przykład Waszyngton, nazywany wiecznie zielonym stanem, był kiedyś terenem półpustynnym. Po wschodniej stronie gór znacznie mniej padało niż po zachodniej. Zanim nie spiętrzone rzeki i nie stworzono systemu zbiorników wodnych i kanałów, nic tu prawie nie rosło. Prawdziwy boom nastąpił w latach 30., za prezydentury Roosevelta, który chcąc przezwyciężyć Wielki Kryzys, zatrudnił masy ludzi przy robotach publicznych. Powstał potężny system zapór sięgający od granicy kanadyjskiej aż po ujście rzeki Columbia. Dzięki temu rozwinęło się właśnie rolnictwo. Specjalnością jest tu pszenica, którą wysyła się na rynki światowe, a zwłaszcza wschodnioazjatyckie (od Tajwanu po Koreę i Japonię). Rosną najpiękniejsze i największe w Stanach sady, m.in. wiśniowe i jabłkowe. Oprócz tego dzięki zaporom uzyskuje się czystą energię elektryczną. Około 80

procent pochodzi z hydroelektrowni. Prąd wytwarzany z zapór jest bardzo tani, najtańszy w USA. Tamy i regulacja koryta rzek umożliwiają też transport rzeczny, barki przewożą produkty rolne do portów Pacyfiku. Słowem: rzeka i jej zapory stały się jęczyzkiem u wagi w kilku stanach Pacific Northwest. Gdyby je zburzyć – cały ten system budowany przez 60, 70 lat zacząłby się chwiać. Ludzie straciliby miejsca pracy w portach i nie tylko... Mimo więc, że poważna część naukowców bije na alarm i domaga się zburzenia tam, po to żeby przetrwał łosoś – jest to na razie utopia.

Siedząc przy kominku, medytujemy nad tajemniczymi prawami przyrody. W naszych rozważaniach problem łososia urasta do wymiarów metafizycznych nieomal. Jak to jest, że powraca on po wielu latach i dokładnie odnajduje miejsce, strumień, ba, część strumienia, w którym się urodził? Kto mu to kazał robić? Skąd ten nawigacyjny instynkt, tajemna wiedza, nieprawdopodobna siła przeznaczenia?

Bogusław Żurkowski opowiada o zabawnym filmie, który widział przed wyjazdem do Ameryki. Siedzi sobie leniwy niedźwiedź nad brzegiem rzeki w Alasce, nadstawia pyska, a łososie skaczące przez przeszkody i czyniące w powietrzu salto mortale wpadają mu do pyska same jak manna z nieba.

– A więc w tym wypadku zawodzi je zmysł samoobronny – śmiejemy się.

– Tak, tak – przytakuje Piotr i dodaje: – Na Alasce nie ma zapór. Łososie mogą tam swobodnie pływać. To ostatni ażyl dla tej ryby...

Nie sposób przy kominku nie poruszyć też kwestii smaku łososia, szczególnie gdy się go zajada ze smakiem. Piotr, ocierając tłuszcz z brody, emocjonuje się:

– Mój ulubiony przepis na łososia jest następujący. Trzeba zdobyć łososia świeżo złowionego, a więc pojechać nad ocean. Ja jeżdżę z moją rodziną najczęściej do Florence. Jest tam mały port, do którego w sezonie zawijają kutry. Sprzedają głównie srebrnego łososia, ważącego od 10 do 20 funtów. Zawijamy wypatroszonego w grubą aluminiową folię, przedtem oczywiście nie zapominając o dobrym przyprawieniu. Folię kładziemy na przygasające ognisko i opiekamy z każdej strony nie dłużej niż 15 do 20 minut. Po półgodzinie – wyciągamy łososia, odwijamy i... niebo w gębie.

– Receptura dość prosta i niezmienna od wieków – śmiejemy się. – Podobnie przyrządzano ryby w plemieniu Indian Nez Perce. Z tym że nie mieli folii...

Przeczytałem o tym w wierszu współczesnego poety indiańskiego o nazwisku Phil George. Kupiłem sobie jego tomik w muzeum Nez Perce. Autor naprawdę miał typowo indiańskie, bardzo długie i złożone nazwisko: „Dwa stada gęsi jaśniejące nad ciemnymi wodami”.

cdn.

Poetycki bilans życia

Przychodzi taki moment w życiu niektórych twórców, którym dane było długo żyć i wnikliwie przyglądać się światu, prowadząc z nim twórczy dialog, ukazujący jego regiony, a nie dane bezpośrednio przeciętnemu człowiekowi. Taką sytuację mamy w przypadku nestorki poetów poznańskich – **Heleny Gordziej**, która opublikowała kolejny tomik wierszy – tym razem nosi on tytuł – „Na przedprożu zaświatów”. Za swoją twórczość otrzymała liczne nagrody, a w roku 2012 Kapituła Pracy Organicznej im. Marii Konopnickiej przyznała jej „Nagrodę Pracy Organicznej Imienia Marii Konopnickiej” w uznaniu zasług dla literatury i kultury oraz za całokształt twórczości literackiej. W województwie wielkopolskim twórczość tej poetki jest dobrze znana i szanowana, stanowi element obowiązkowej lektury nie tylko w gimnazjach, ale i liceach, które nierzadko przygotowują spektakle poetyckie z okazji różnych świąt narodowych, ważnych wydarzeń kulturalnych w regionie, opartych na jej utworach poetyckich.

Tomik ten zawiera utwory o głębokiej refleksji egzystencjalnej, wynikającej z długoletniego doświadczenia życiowego i twórczego. Otwiera go wiersz pt. „Świat”, w którym poetka ubolewa nad swoją starością i jej niedogodnościami, pisząc: „ogromna pułapka / umiejętnie napędma lęk / do sercowych komórek / Z wąwozów szarych zwojów mózgu / z odbicia ludzkich twarzy / napotykanym na drogach / tchnie grozą (...) / Żonglowanie pionkami dni / to trudny manewr / Nerwy napięte do granic wytrzymałości / domagają się coraz większej dawki leków”.

Jej świat coraz bardziej ją oszukuje, najeżony lękiem i niepewnością, staje się w praktyce zdradą i kłamstwem, co zmusza do stawiania sobie nierzadko gorzkiego pytania o sens faktu narodzenia. Zauważa, że i jej sumienie zaczyna twardnieć i trzeba go niekiedy zmiękczać. Świat szybko obsuwa się w zapaść i autorka musi go często reanimować wierszem. „(...) / Ziemia – pisze w wierszu pt. „Refleksja” – bacznie mi się przygląda / Jeśli kiedyś powiedzą – niech jej lekka będzie – być może stanie się / według porządku”.

Coraz bardziej wątpi w uczciwość i dobroduszość człowieka, a coraz bliżej jest jej do psiego stada, gdzie panują twarde rygory, ale wierność pozostaje tam zawsze obecna, co trudno powiedzieć o ludziach.

Gordziej próbuje z perspektywy czasu dokonać anatomii porównawczej postaw twórczych: malarza i chirurga, konstatując, że: „(...) Osad niespełnień przeżera / głodne wnętrza twórcy”.

Jej kontakty ze światem ograniczają się do rozmów telefonicznych, które przerywają wszechobecną ciszę, a po nich nie da się jednak efektywnie przegonić samotności, która coraz dokładniej omotuje poetkę. W

„Poemacie na odchodne” odkrywa głęboki sens absurdu pracy przysłowiowego Syzyfa, kształtującej nasze jednostkowe sensy istnienia, ale obawia się, że finał istnienia człowieka w świecie może być związany z samozagładą, bo jego rozumność utraciła już pierwotną moc sprawczą. To, co napawa ją jeszcze optymizmem to bycie lekkoduchem, który ciągle żyje z uśmiechem na twarzy, bo w odczuci poetki „(...) beztrojski uśmiech / [to] lekarstwo bezpłatnie zafundowane / przez Naturę”.

Gordziej narzeka, że zbyt długo żyje; że jej drogocенność, czyli wspomnienia i prawdy o życiu z nimi związane, których jest coraz więcej, przysięgają zbyt mocno, a co gorsza, nawet dobrze zapakowane w formę wiersza, najczęściej lądują w koszu na śmieci. Narzeka na wszechwładne media, które kiedyś przynosiły ludziom radość i pomyślne wieści, dzisiaj epatują się złem, straszą ludzi, a w praktyce prowadzą do „głuchoty duszy”, zmieniając życie w przysłowiowy „głuchy telefon”.

Poetka niekiedy wsluchuje się w Balladę As-dur Fryderyka Chopina, przypomina postać Janusza Korczaka, choć ubolewa, że nikt go do tej pory nie nazwał go świętym. Powątpiewa w sens dążenia do płodności człowieka, która prowadzi ludzi jako pan przysłowiowych niewolników do „kościstej Księżniczki”. Kolejny raz opisuje doświadczenia samotności, która przypomina jej „puste dni / wypchane materacem”. Przypomina ludziom, że czas jest bezwzględny, seryjnym producentem „skamielin bytów”. Z radością wypowiada pochwałę życia Cyganów, jako najbogatszych wolnością na świecie ludzi. Ale zauważa z ironią, że dzisiaj młodzi interesują się starcami głównie dla poprawy poziomu własnej adrenaliny. Skarży się dalej na samotność umierania, które kiedyś było nacechowane powagą i zrozumieniem, i powtarza za Cyceronem, że „Starość sama z siebie jest chorobą”. Wspomina wielu przyjaciół po piórze i po życiu, cieszy się, że świat nie zapomniał jednak o jej istnieniu, choć ludzie tak, bo w każdej porze roku widzi swoje miejsce w nim choćby we wspomnieniach, zaś kosmos wyznaczył jej już czas na wejście do „czarnej dziury” niebytu, o której nie ma żadnej wiedzy, ale i wyjścia spoza horyzontu nieistnienia, z czym jest już pogodzona. Ten barak możliwości dotarcia emocjonalnego, ale i rozumowego, wspartego doświadczeniem życiowym poetki, stanowi w pewnym sensie jedną z kluczowych wartości tego zbioru, nadający pozostałym pogłębiony sens.

Nietrudno nie zgodzić się z tym wymiarem poetyki starości, o którym tak sugestywnie, prawdziwie, wręcz genialnie pisze Gordziej, ale i odkrywa znaczące różnice w kulturze ją otaczającej, które dokonały się w czasie jej bogatego i twórczego życia. Poznańska poetka – pomimo podeszłego wieku – dzieli się z Czytelnikiem bardzo ważną refleksją,

ukazującą przełomowe transformacje w kulturze rodzimej, ale i globalnej, jeśli idzie o starość i śmierć człowieka. Sygnalizuje jako baczny obserwator XX wieku i początków XXI wieku, że w naszej aksjosferze dokonują się głębokie zmiany związane z rozumieniem wartości i wynikających z nich powinności. Nie obca jest jej również „bomba demograficzna” wisząca nad światem, od kilku lat napęniająca ją niepokojem, szczególnie w państwach ubogich i negatywne zmiany demograficzne w państwach zamożnych, co zagraża godności człowieka, ale i może być przyczyną wielu konfliktów między ludźmi na skalę, która wcześniej nie miała miejsca. Warto więc przeczytać Gordziej uważnie i z wyobraźnią.

prof. Ignacy S. Fiut

Helene Gordziej, „Na przedprożu zaświatów”. Wydawca: Związek Literatów Polskich w Poznaniu, Seria Wydawnicza LIBRA, nr 56, Poznań 2014, s. 50.

Moja wolność jest taka jak ja

85-lecie urodzin obchodzi w tym roku **Fatos Arapi**, albański poeta, eseista, powieściopisarz, publicysta, tłumacz, laureat, kandydat do literackiego Nobla... Nie wypisuję wszystkich przynależnych mu tytułów, gdyż jest ich po prostu za dużo.

W Albanii to pisarz na miarę naszego Iwaszkiewicza czy Herberta. Autorytet. Mistrz. Jakby wzór dla tych, którzy wyznają podobne mu wartości, czyli być jak najbliższe ludzkich spraw, nigdy nie sprzeniewierzyć się swojemu sumieniu, pisać prawdę. W Albanii, w czasach dyktatury Envera Hodży, czystej krwi stalinowca, było to niezwykle trudne. I ci twórcy, którzy nie chwalili reżimu, lub próbowali mu się przeciwstawić, mogli liczyć tylko na szykany i przemilczenia, nie brakowało także personalnych napaści w mediach, grózb i przesłuchań czy uwięzień.

Dajcie mi imię, taki tytuł nosi wydany w języku polskim zbiór Jego wierszy w wyborze i w przekładzie Mazlluma Saneji. Wydawnictwo Komograf doceniło ich artystyczną wartość, choć Arapi w liście do tłumacza napisał: „Drogi Mazllumie, szczerze żałuję, że nie byłem w stanie wesprzeć finansowo wydania tej książki. Ty sam najlepiej wiesz, co znaczy być twórcą, poetą w Albanii”.

Takie wiersze, jakie znajdujemy u Fatosa Arapiego, może pisać tylko mędrzec, obdarzony naturalnym talentem poetyckim, i tym czymś, co staje od czasu do czasu za plecami albańskiego poety, kładąc na jego ramieniu boską dłoń.

(Dokończenie na stronie 18)

Moja wolność jest taka jak ja

(Dokończenie z estrony 17)

Według informacji z książki pisarz urodził się w 1929 roku we Włorze (alb. Vlora, założone jako grecka kolonia). I w myślach tego miasta nie opuścił do dziś, ale trudno byłoby nazywać go lokalnym patriotą czy też prowincjonalnym poetą. To olbrzym w sensie fizycznym i umysłowym, który wierny pamięci, wierny swemu dzieciństwu, nie zerwał z rodzinną miejscowością, z tą częścią Morza Jońskiego, nad którym to miasto leży. Morze to jedno ze słów-kluczy do jego poezji w opublikowanym w Polsce tomie. Morze jest w nim od urodzenia, morze to jego początek i koniec, to jego pierwsza metafora: to woda, praźródło życia, symbol upływu czasu. Arapi bez wahanía poddaje się rytmowi morza, bezgranicznie mu ufa, morze go fascynuje, w nim szuka początków życia, skutków jego przemijania.

*Zanurzyłem się w wodach Jońskiego Morza,
w jego światłach i barwach.*

[...]

*Moją duszę przenikają
błękitne prądy radości
światła i barw Jońskiego Morza.*

Czy to zanurzenie nie ma charakteru chrztu, jak u pierwszych chrześcijan? Czy takie połączenie z żywiołem można bezkarnie zerwać? Zbyt dużo morze ma poecie do przekazania, i on zbyt dużo jest winien morską falom.

*Przyszły do mnie wiersze
błękitnymi rytmemi fal.*

[...]

Dla takiej chwili czegoż nie odda prawdziwy poeta? Poeta, wyznawca panteizmu, który rozumie i ceni naturę, gdyż sam jest jej częścią:

*Byłem cały
cząstką światła i barw.*

Miłość poety do morza jest miłością rozzumną, ale i podszytą niepokojem, co łatwo odczytać w innym wierszu:

*Czemu czuję lęk, gdy zbliżam się do morza?
Tak dawno go nie widziałem...
Tak dawno nie widzieliśmy się...
Ja i Jońskie Morze... dorastaliśmy razem...*

Bo czy można zaprzeczyć ideałom wyniesionym z dzieciństwa, odrzucić przeszłość? Znacząłoby to zaprzeczyć samemu sobie, także ukochanemu osobom, w tym bratu zamordowanemu przez reżim Envera Hodży. Bo przecież były takie chwile, kiedy:

Mały, w krótkich spodenkach,

*bosy, w perkalowej koszuli,
którą jeszcze babcia szyla...
Taki właśnie każdego wieczoru
wychodziłem na morski brzeg.
[...]
w oddali na nieskończonych
polach nocy zjawiały się
niezliczone przedziwne stada,
stada białych koni.*

Białe konie... to jeszcze jedna ważna metafora. Może symbolizować potęgę, lub też grozę morza, ale i siłę dziecięcych pragnień, które przecież muszą się ziszczyć, jeśli tylko tego bardzo chcemy. Jednak zauroczenie morzem, dodajmy: tym morzem, nad którym rodziła się śródziemnomorska cywilizacja, i zaludnił ją nie tylko Homer swoimi nieśmiertelnymi bohaterami, nie wyczerpuje fascynacji poety światem.

*Zerwałem gałąź zieloną,
białych kwiatów pełną.
Wspomnienie o tobie zerwałem...*

To początek jednego z wielu wierszy Arapiego poświęconych ukochanej osobie, jeden z subtelnych erotyków o kobietach, towarzyszkach naszego życia, bez których świat byłby niemożliwy, choć pewnie czasami one nie zdają sobie z tego sprawy:

*Widziała wszystko w moich oczach
a ja milcząc krzyczałem:
– Tak bardzo pragnę cię tej nocy,
do tchu utraty.*

Wspomniałem wyżej o bracie poety zamordowanym w latach dyktatury Envera Hodży. Twórca poświęca mu w książce cały rozdział zatytułowany *Za duszę Vlasiego*. Z pewnością w czasach enverowskiej cenzury poniższe strofy nie mogły zaistnieć publicznie:

*I ty wierzysz, że światło nie umarło?
Ten kryształowy nadziei sen? –
Nadzieja umarła, bracie mój,
nadzieja umarła.*

*Wolność umarła, bracie mój,
wolność umarła.*

Wraz z bratem pojawiają się w wierszach także jego najbliżsi, ojciec poety, jego matka, co przynosi strofy, jak ta, którą cytuję:

*Wczoraj,
gdy matka przy stole dzieliła chleb,
wziąłem kawałek do ręki
i zdało mi się, że podniosłem
garść ciepłej ziemi,
że trzymam w rękach
ciężką garść okruchów słońca.*

Gdyby wydano u nas antologię wierszy o chlebie autorstwa obcych poetów, liryk Arapi byłby jego ozdobą.

Nie sposób w krótkiej recenzji oddać całego bogactwa tej poezji, jej intelektualnej głębi, rozległości tematycznej, filozoficznej

zadumy, prostoty sięgającej aforyzmu, determinacji i wiary poety w potęgę słowa, jak choćby w tej strofie: *Moja wolność jest taka jak ja. / Nawet martwy powstanę...* To duchowa uczta dla tych, którzy autentycznie kochają lirykę, szukają w niej prawd objawionych, czy moralnego prawa.

Jeszcze tylko kilka słów o ich tłumaczu, wybitnym poecie i znawcy polskiej literatury i historii, naszego kraju, Mazllum Saneji, Albańczyku, który jest z nami już kilkadziesiąt lat, z uporem i znawstwem przekładając na język albański polskich pisarzy, i albańskich pisarzy na język polski. Efektem jego pracy jest kilkadziesiąt publikacji książkowych. Ten entuzjasta i miłośnik polskiego słowa z pewnością jest u nas za mało doceniany.

Stanisław Grabowski

Fatos Arapi, „Dajcie mi imię”. Wybór i przekład z języka albańskiego Mazllum Saneja. Opracowanie i współpraca: Ewa Śmietanańska, Wydawnictwo Komograf, Ożarów Mazowiecki 2013.

W szklanej kuli sonetów

„Gdy modny belkot snobistycznej blagi
Krytyk zaciemnia kadzidlany dymem,
Doszło do tego, że aktem odwagi
Jest wiersz napisać z rytmem, sensem, rymem”.

Antoni Slonimski – „W obronie wiersza”

23 kwietnia 2014 roku minęła 450. rocznica urodzin, a za dwa lata minie 400. rocznica śmierci Williama Szekspira. Zapewne niewielu z nas pamiętałoby o tych datach, gdyby nie **Krystyna Konecka**. We współczesnej poezji polskiej stanowi ona swoisty ewenement. Uparła się uprawiać sonet, z wielką fascynacją, ale też wiedzą i klasą, bo – jak powiedział Michel Houellebecq – „warunkiem dobrego stylu jest mieć coś do powiedzenia”. To bodaj jedyna polska poetka, która uniknęła epigoństwa i doskonale radzi sobie z tą formą poetycką. Nie wiem, czy zdążył poznać Konecką i jej twórczość Roman Tomaszewski z Klubu Literackiego TOPOLA w Zduńskiej Woli, w którym oboje działaliśmy, członek warszawskiego oddziału ZLP, wyróżniony za tom poetycki podczas ostatniego Listopada Poetyckiego w Poznaniu. Miał w swoim dorobku tomiki sonetów. Można powiedzieć, że oddychał nimi. A Krystynę Konecką charakteryzuje (według Waldemara Smaszczka) myślenie sonetami. Ciekawa byłam spotkania, konfrontacji tych dwojga poetów, odmiennych osobowości.

Wróćmy do Szekspira. Co łączy Konecką z angielskim poetą, żyjącym prawie pół ery temu (i tylko przez 52 lata!)? Jego „Sonety” uznawane są za najpiękniejszy zbiór poezji miłosnej. Ale to tylko jeden element przyczynowy całej „układanki”, która w efekcie końcowym nabrała kształtów „Ogrodów Szekspira”. Dedykacja

w tej książce sporo wyjaśnia: „Mojej córce Ewie – przyjaciółce oraz sponsorce i współuczestniczce szekspirowskiej przygody”. Niezwykła to przygoda. Ale i długotrwała wcześniejsza praca poznawcza. Każda wizyta u córki, zamieszkałej w Anglii, umożliwiała poszerzanie wiedzy, poprzez zbiory biblioteczne i penetracje miejsc naznaczonych choćby tchnieniem poety. Tak naprawdę „żyła Szekspirem” od swoich pierwszych zainteresowań teatralnych, pierwszych prób w przedstawieniach, jeszcze w dzieciństwie. Ma za sobą fascynującą, choć czasem niełatwą, podróż w głąb czasu, tropami ocalałych miejsc, śladów, związanych z życiem i twórczością Szekspira. Docierała do nich z dziennikarską pasją i w oparciu o fakty lub tylko domniemania pisała sonetowy pamiętnik:

Holy Trinity Church

Jeśli tu był ochrzczony, to chrzcielnicy owal nadal istnieje. Tylko z późniejszym o wieki pęknięciem. Jeśli swoich bliskich tu pochował, Bóg zabrał też kamienie. Jeżeli ta rzeka nigdy się nie rozstała z kościoła odbiciem, to warto poprzez wierzyby powiewną klauzurę spoglądać jego wzrokiem w bezmownym zachwycie nim odpłynie się z fala jak labędzie pióro. Jeżeli polichromia w murze prezbiterium fałszuje twarz pośmiertną w poświęcone witraży, przecież dla niego róża, naręcza wisterii, wieńce z urodzinowych lilii pod ołtarzem. I moja tu obecność. Zza morza. Z biletem do wrażeń, które pragnę ogarnąć sonetem.

(Sonet szekspirowski z I części „Ogrodów Szekspira” – 2003)

Sonet w tym tomie są próbą zapisu refleksji z podróży i impresji dotyczących postaci autora „Hamleta” (w warszawskim Teatrze Współczesnym Borys Szyc świetny w roli Hamleta). Znajdziemy tutaj konteksty geograficzno-historyczno-kulturowe, także związane z Polską. Te sonety składa Konecka w hołdzie wobec poety i dramaturga wszechczasów (był również aktorem). Dwa spośród czterech cykli utworów to sonety szekspirowskie. Pierwszy dotyczy życia poety w rodzinnym Stratfordzie, a trzeci jest rodzajem literackiej zabawy z formą. Cenne jest zamieszczenie w książce fotografii, ilustrujących etapy podróży i odkrywanie miejsc docelowych.

439 urodziny

*Więc gdybyś nie był... synem kupca, urzędnika
Kiedyś ta euforia ze spotkania z każdym śladem?!
Wibracje serca unoszące jak muzyka?
Jeśli byś nie był... niezrównanym romantykiem.
Szaleńcem serca. Mych wieczorów częstym gościem.
Nie stałyby się twoje frazy o miłości
afrodyzjakiem, panaceum, narkotykiem.
[...]*

(Fragment sonetu petrarkowskiego z IV części „Ogrodów Szekspira” – 2003)

Krystyna Konecka w sonetach, zamieszczanych w książkach, stawia sobie czasem wypisywania, ubogaca ich tworzenie. Próbuje wypisywać w formy – szekspirowską i petrarkowską – własną inwencję poetycką. Rejestruje codzienność, fascynację przyrodą, dotyka tematów związanych z tradycją i kulturą. Jest

poetką dwóch kręgów: kultury i natury, odwołań topograficznych i biograficznych. Sonet często jest świadectwem rzeczywistości, rzutu-jącej na jej własną egzystencję, własną codzienność – autorka staje się podmiotem lirycznym. Dyscyplina kompozycyjna i tematyczna tej formy poetyckiej wymaga ujmowania myśli w karby słów uporządkowanych. Ale – nie surowo brzmiących, przeciwnie. Oprócz widocznego zmysłu obserwacji i czasem goryczy, znaleźć w nich możemy i humor, i dowcip.

Romans w metrze

*Zauważyłam ich, gdy szli od multikina
kremowo-arkadowym pasażem ze śladem
po tramwajowych torach. On dyskretnie błądy
w wieku pobalzakowskim mocno. A dziewczyna
W latach Hańskiej z okresu mariażu. Przy stacji
metra stanęli pod straganem z chlebem
wielkim jak myrskie koła. Wciąż za ręce. Trzeba
było widzieć jej czułość. Jego adorację.
...Pociąg Meteor, maszynisty pozbawiony
zatrzymał się. Wysiadła Hańska wprost w ramiona
mężowskie. Pan zaś w widmie automatyzacji
skulił się. Zdławił szloch nie ludzki. I już – stacja.
I... promienny wysiadł podwójnymi drzwiami
na Madeleine, gdzie czekała małżonka z wnukami.*

(Z tomiku „Biały kruki” – 2007)

Zdarza nam się niejednokrotnie, że jakiś wiersz, z rymem i rytmem, dawno czytany, „chodzi nam po głowie”. Wraca do nas z głębi przeszłości, wcale nie zamkniętej na amen. Poetycka melodia Koneckiej często tworzy nastrój, autorka sonetem czaruje czytelnika, słuchacza. Niekoniecznie wyłącznie poezja współczesna zapewnia nasze domowe biblioteczne półki. Konecka uzmysławia nam, że rytm, rym, melodyka wiersza, wcale nie są reliktem przeszłości. Trzeba tylko nadać im odpowiednią formę, zadbać o styl. Stawiamy jej sonety obok białych wierszy współczesnych poetów, także najmłodszych „stażem”, eksperymentujących ze słowem i treścią adeptów pióra. I nikt nikomu nie wadzi. Sonetem poetka także ocala to, co ważne, w polskiej kulturze, historii, współczesnej rzeczywistości, a także w przyrodzie. Czytając jej poezję, uświadamiamy sobie, że nam się to po prostu podoba. A jeszcze autorka celuje w pointach, zaskakuje („...Dzień na śmierć się zaołał w monologu bata”). Porusza nasze umysły, zmusza do zastanowienia, zatrzymania się w biegu codzienności, pochylenia nad wartością, znaczeniem – historii ziemi rodzinnej – ojczystej, ważnych zdarzeń, egzystencji człowieka.

Kołysanka dla siebie

*Białowojcze. Nad Dziną
Kiedy czas stał się inny niż projekcja marzeń...
Piskłeta coraz dalej... Bardziej obce miasta...
Kiedy autorytety jak lodowce gasną –
wracaj do domu. Z garbem. Z bliznami na twarzy.
Kiedy sypie się pewność jak rażona gromem...
Gdy historia w szaleństwie i zgilek ulicznym
jak wichur miota drzewem genealogicznym
kurząc konary. To nic. Ty – wracaj do domu.
To nic, że domu nie ma. Że babćina rzeka
między dwoma krajami w kolczastych zaskakach.
Ale jest – praprzyczyny pramiejsce rodowe.
Może zdołasz prawnikiem świat ów nazwać słowem.
Odnaleźć proste drogi w meandrach pamięci...*

Otulić się jej ciepłem...Zasnąć w jej objęciach...

(Z tomiku „Biały kruki” – 2007)

Już w okresie dzieciństwa rodziła się jej fascynacja magią Wileńszczyzny i słowa z nią związanego. W Gorzowie Wielkopolskim nad Wartą ojciec śpiewał kołysankę „Wilija, naszych strumieni rodzica...” Tekst – klucz. Ważne się stało dla Krystyny, by enklawa rodzicielskich tęsknot, korzeni, ocalała. Kiedy pierwszy raz była w Wilnie, upewniła się, że tamta ziemia, ludzie, sprawy, pozostaną azyłem spełnień, prywatności, symboliki patriotyzmu i rzeczy uniwersalnych. Po latach powstały sonetti a corona „Sonety litewskie”, włączone później do zbioru „Znad Wili”. Słowa pełne szacunku, dumy, podziwu i pokory.

Sonet litewskie, I

*Litwo, ojczyzno moja z epoki embrionu.
Litwo moich rodziców, królów i poetów.
Ziemio deszczu. Dzieciństwa niejasna planeto
wśród wygasłych albumów i rzeczy minionych.
W gęstych zaułkach wzruszeń północien. Półtony.
Kogoś brak. Coś jak popiół. Carskie epoety,
wzrok Skargi jak z Matejki. Rękopis sonetu
gęsim piórem w marsardzie. Wiatr i dzwony. Dzwony.
No przecież jestem. Czas ma niezbadane twarze
i filtruje mi światło w wileńskim witrażu
poprzez tży. Pierwszy wieczór z powitania chory
Spętał napięciem gardło jak szal Isadory.
W rozwarciem ramie nieba deszcz zasnuwa cieniem
iskry więz z perspektywą niedopowiedzenia.*

(Z tomiku „Sonety litewskie”)

Dla Koneckiej każda podróż jest ważna. Ważny tomik – każdy, ale wyróżnia „Ciszę”, „Ogrody Szekspira”, „Szklaną kulę” i album poetycko – fotograficzny „Listy dobiegniewskie” (miejsce urodzenia w ówczesnym woj. poznańskim – poetka sięga do przeszłości historyczno-kulturowej tego obszaru). W 200. rocznicę urodzin Adama Mickiewicza wydała zbiór sonetów pt. „A.M.”, sfinansowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki (z życzliwą oceną ks. Jana Twardowskiego). Istotne są dla niej spotkania z ciekawymi ludźmi, ale także rozmowy o błahostkach, wkomponowanych w codzienność. Znana jest jako osoba ujmująca, otwarta i serdeczna. Jednocześnie skromna. Chętnie, wręcz z pasją, dzieli się zdobytą wiedzą, wiadomościami dotyczącymi literatury i życia kulturalnego, tradycji, piękna natury, także daleko poza granicami naszego kraju, dokąd wielokrotnie podróżuje. Emocje przekładają się na reportaże, wiersze, fotografie. Sonety pisywała nad Morzem Żółtym i Morzem Japońskim. Rzadko pisze o miłości. Dla niej sonet jest przestrzenią, w której może pomieścić wszystkie interesujące ją tematy, z głębią odwołań do współczesności (wykraczające też poza emocje liryczne). Pierwszym wzorcem dla poetki był oczywiście Francesco Petrarca („Sonety dla Laury”). Sonet szekspirowski poszerzył możliwości jej wypowiedzi o inne rozłożenie akcentów interpretacji tematów. Pierwszy cykl korony sonetów – *sonetti a corona* – zaczęła pisać w autobusie, wracając z wieczornego dyżuru w katowickiej drukarni.

Lubi odkrywać nowe konteksty. Z radością poznaje miejsca, ludzi i samą siebie na nowo. Edyta Geppert włączyła do swojego repertuaru jej tekst „Tęsknota i wiatr” (muzyka – Stanisław Stankiewicz). Od wielu lat jest w przyjaznym kontakcie z Barbarą Wachowicz, która swoją obecnością i wypowiedzią na temat twórczości autorki sonetów, uświetniła jej warszawskie spotkanie w „Bibeloty Cafe” w marcu br. (prowadzenie – Stefan Jurkowski). Z dużą satysfakcją świętowała 450. rocznicę urodzin Williama Szekspira, wraz ze studentami i pracownikami naukowymi Uniwersytetu w Białymstoku, przy wielkim torcie. Nie mogła być wtedy w Centrum Szekspirowskim w Stratford-upon-Avon, gdzie urodził się i zmarł William Szekspir. On sam staje się bliższy współczesności poprzez sonety Koneckiej. Książka „Ogrody Szekspira” i tłumaczenia sonetów (Ewa Sherman) znalazły się w zbiorach Biblioteki ww. Centrum Szekspirowskiego, a wcześniej książka miała swoją promocję. Sukces tej poetki wynika z głębokiego zrozumienia dzieł Szekspira i jego życia, w powiązaniu z wiedzą o realnym świecie, współczesnym. Część nakładu przekazała w tym roku fundacji, budującej Gdański Teatr Szekspirowski. O sonetach Krystyny Koneckiej pisali, w recenzjach, uwagach, listach, m. in.: Roger Pringle – Dyrektor Shakespeare Centrum, prof. Teresa Zaniewska, Stanisław Tomala, Andrzej K. Waśkiewicz, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Gąsiorowski...

W biografii poetki wpisał się reżyser Kazimierz Kutz. Prowadził zajęcia z filmoznawstwa w Podyplomowym Studium Kulturalno-Oświatowym na Uniwersytecie Śląskim. Wiersz „Dedykacja” nawiązywał do ważnego wówczas filmu Kutza „Sól ziemi czarnej”. Tadeusz Kijonka opublikował go w „Poglądach” (1972). I to był pierwszy krok tej poetki na parniasie.

Krystyna Konecka jest autorką wielu reportaży, przede wszystkim społecznych. Zajmuje się także krytyką literacką i teatralną. Wydała dwie książki o swoich podróżach na Półwysep Koreański. Natomiast fotografie znalazły miejsce w tomikach, albumach fotograficznych – poetyckich, w prasie, na wystawach, ekspozycjach. W 2008 roku w Poznaniu, Międzynarodowy Listopad Poetycki w przestrzeni kilku lat można było zobaczyć i wspominać podczas wystawy jej fotografii. Dwa lata wcześniej ukazał się album poetki z Białegostoku pt. „Chwile i lata”, wydany na jubileusz XXXV Warszawskiej Jesieni Poezji. Jest to swoista dokumentacja zdarzeń, związanych z tym festiwalem literackim na przestrzeni kilku lat, do 2005 roku. Zatrzymane w kadrze chwile są niepowtarzalne, chwile wplecione w kolejne jesienie, poetyckie wzruszenia, rozważania, sesje i wernisaże. W reprezentacyjnych salach stolicy i w pięknych plenerach. Fotografie przybliżają nam uczestników i gości wyjątkowych, m.in. wybitnych polskich aktorów. Wielu z tych uśmiechniętych, bądź zadumanych twarzy już nie zobaczymy. „Chwile i lata”

są bogato ilustrowane również strofami poetów. To uczta dla oczu i ducha.

Ingmar Bergman powiedział: „Nie wierzę w natchnienie. Wolę sumienność”. Krystyna Konecka myśli podobnie i stara się realizować odpowiedzialnie postawione sobie zadania. Zawsze ma też na uwadze stwierdzenie Voltaire’a, że „Tylko szarlatani są pewni swojej sprawy”. Dlatego nie wydaje książek często, a raz na parę lat, z niepewnością, jak jej wiersze zostaną przyjęte.

„Szkłana Kula” to album poetycki poświęcony twórczości i miłości pary młodo polskich artystów Ireny i Wojciecha Weissów, wydany przez Fundację Muzeum Wojciecha Weiss’a w Krakowie, którą kieruje wnuczka artysty – Zofia Weiss-Nowina-Konopka. Jest ona autorką koncepcji książki, w której znajdujemy obrazy Weissów, ale też ich samych – na fotografiach. W 2013 roku Krystyna Konecka prezentowała tę książkę m.in. w Muzeum Narodowym w Krakowie i Muzeum Literatury w Warszawie. Byłam obecna na promocji w Domu-Muzeum Władysława Broniewskiego, spotkaniu w ramach Warszawskiej Jesieni Poezji. Prowadził je Stefan Jurkowski. Reprodukcyjne obrazy, zamieszczone w albumie (widoczne także na ekranie), zostały ubogacone poetyckimi do nich komentarzami. Sonety z estymą czytała ich autorka. Krystyna Konecka w tym albumie wchodzi w malarską rzeczywistość Weissów, łączy wątki prywatności z obrazami i inspiracjami własnymi. Prowadzi artystyczny dialog. Sonety mają głębię refleksyjną, uniwersalne odniesienia.

Okna... Okna

W oknie pracowni. Widok z okna. Haftująca Aneri. Szkłana kula. Refleksy. Zimowy sad przez okno. Za oknem. Wieloznaczne słowo do wpadania świeżości, natchnienia i słońca. Renia na oknie. Wnętrze jadalni z otwartym oknem. Odbicia w szybie. Autoportret z żoną. A tu na parapecie jasnym ustawiono glinianych żołnierzyków kruchą ariergardę. Mając za sobą Rzymy, Paryż, Florencję, ich architektoniczny przestwór, zamiast wieniec tam stawiać czoła, młody geniusz wszedł w zażyłość z przykasztoznym miasteczkiem. Dając preferencje przeciwnym prostokątom twórczym nieskończenie. Z teatrem codzienności. Z widokiem na miłość.

(„Szkłana kula”, obraz Wojciecha Weiss’a – Renia na oknie)

„Szkłana kula” to tytuł kilku prac malarzskich obojga Weissów, motyw towarzyszący pejzażowemu malarstwu z czasu, kiedy odkrywali swoją wzajemną miłość. „Przed stułciem była to skromna dekoracja stojąca na grządkach kalwaryjskiego ogrodu, ale za sprawą artystów stała się magiczną kulistą sferą, w której z jednej strony przeglądał się ich rodzinny dom, a z drugiej strony bezmiar nieba. Stanowiła intrygującą przestrzeń ciągle niedokończonego dialogu spojrzeń i refleksów”. (Zofia Weiss-Nowina-Konopka).

W albumie natomiast, pięknym i wzruszającym, z oryginalną, bogatą metaforą, dostrzegalne jest wzajemne oświecanie się sztuki malarstwa i poezji. Na tym polega ekfraz.

Przenikanie. Stefan Jurkowski, na ostatnich stronach albumu przybliżył nam, charakteryzując, portrety trojga artystów. I owo „przenikanie” ich sztuki. Zbliżone, bądź te same klimaty, dostrzeganie niuansów, uniwersalność treści w obrazie i słowie. Posługuje się przy tym konkretnymi przykładami.

Zdjęcie z krzyża

*Tej nocy nic nie było ostre. Tylko zgroza.
Niepewne barwy tłumu, całunu i zbroi.
Czarna plama – w omdleniu Mater Dolorosa.
Rozpacz jak w „Rozstrzelaniu...” u Francisco Goi.
Białą plamą jaśnieje tylko czysty całun.
Ktoś z apostołów w ciemnym bólu pochylony
nad bezmiarem nieszczęścia. Chrystusowe ciało
bez twarzy, bez krwawiącej ciemno korony,
już bezcielesne niemal. Ludzie na drabinach
pasmem płótna ku ziemi znoszą postać szarą.
- Ale, na litość boską, niech ktoś mego syna
stopom odejmie gwoździe, nim runie na maryl!
Cóż, że blask spoza krzyża niesie wybaczenie.
Najbardziej nieśmiertelne zostanie cierpienie.*

(„Szkłana kula”, Zdjęcie z krzyża – obraz W. Weiss’a)

Krystyna Konecka urodziła się w Dobiegniewie (ówczesne woj. poznańskie) w rodzinie repatriantów z Wileńszczyzny. Dzieciństwo spędziła w Gorzowie Wlkp. i w Tychach. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim oraz Podyplomowe Studium Kulturalno-Oświatowe na Uniwersytecie Śląskim. Początkowo pracowała jako nauczycielka i dziennikarka w Tychach, a od roku 1979, kiedy z rodziną przeniosła się do Białegostoku – w „Kontrastach” i „Gazecie Współczesnej” w Białymstoku. Cieszy ją współpraca z wieloma czasopismami ogólnopolskimi. W dorobku ma liczne publikacje poetyckie w prasie ogólnopolskiej, a także kilkanaście wystaw fotograficznych o tematyce literackiej. Jej wiersze, tomiki sonetów były wielokrotnie nagradzane. Zamieszczone są w kilkudziesięciu antologiach, m.in. w krajach: Korea, Włochy, Litwa i w wielu polskich, a także zagranicznych periodykach - w Wilnie, Seulu, Nowym Jorku, Bristolu, Kijowie. Konecka jest członkiem m.in. The Anglo Polish Society of Bristol and the South West, England.

„Szkłana kula sonetów”... Takim tytułem opatrzyłam z góry samą myśl pisania o Krystynie Koneckiej i może trochę o jej sonetach.... Niektóre cytowałam w całości, dla pełniejszego „obrazu”. „Szkłana kula sonetów”... światło, poznawania, odczuwania, rozumienia. Przez szkło często widzimy lepiej, pełniej i z odpowiednim dystansem. Niczego z zawartości nie uronimy, nie utracimy. Kula to kształt doskonałości. Kojarzy się także z ziemią, dzięki której istniejemy, żyjemy. Możemy zapatrzyć się w kulę, wypełnioną wiedzą, wiarą, mądrością i nauką. Próbować odczytać przyszłość.

Anna Andrych



Filozofia codzienności (94)



Ścisły związek wiedzy medycznej i filozoficznej propagował w Polsce – ze szczególnym nasileniem w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku – profesor medycyny z Krakowa, Julian Aleksandrowicz. Podkreślał, że medycyna odcięta od korzeni filozoficznych usycha. Należy odnieść to także do farmacji.

Julian Aleksandrowicz wiązał zdrowie psychiczne człowieka nie tylko z właściwym odżywianiem oraz ze zdrowym środowiskiem, ale również ze stanem wewnętrznej harmonii. Podkreślał także znaczenie przeżyć estetycznych; sztuka, jak pisał, to lek przedłużający życie. Oddając się twórczości w jakiegokolwiek zresztą dziedzinie – a więc prawnej, gospodarczej, społecznej, politycznej, naukowej, technicznej, artystycznej, literackiej, czy religijnej – odzyskuje się subiektywne poczucie zdrowia. Należy czuć się zdrowym i działać, a więc niezbędne jest prawo, które godzi wolność obywateli ze sobą. Skoro człowiek jest tyle wart, ile dał z siebie innym ludziom – niezbędne są gwarancje dla swobodnego, nie zakłócanego przez innych, podejmowania czynów.

Szczególny związek medycyny, farmacji i prawa płynie z więzi zachodzących między nimi i nową dziedziną wiedzy powstałą po drugiej wojnie światowej. Jest to nauka o pokoju, inaczej polemologia, która nie doczekała się w Polsce rozwoju. Najwybitniejszym jej przedstawicielem u nas był ks. Joachim Kondziela, zmarły przed kilkoma laty. Tendencje pacyfistyczne są słabe w Polsce. Wzmacnia je pogląd Juliana Aleksandrowicza, który pisał, że pokój jest tym dla ludzkości, co zdrowie dla pojedynczego człowieka. Idzie tu o pokój, który nie tylko kończy określą wojnę, ale trwałe wyklucza działania wojenne. Jedynie prawo stanowione – biorąc pod uwagę tkwiące w nas tendencje społeczne – jest zdolne doprowadzić ludzkość do takiego pożądanego stanu. Wszelka wojna, agresja jest czymś przeszkadzającym w zdrowym, tzn. prawidłowym, pokojowym trwaniu ludzkości.

Julian Aleksandrowicz podkreślał w swoich dziełach, że o czynach człowieka i sposobie myślenia decyduje nie tylko charakter i procesy edukacji, ale również ma na nie wpływ ekologicznie uwarunkowana tkanka

mózgowa. A więc konieczne jest stanowienie prawa po to, by mocą przepisów prawnych wprowadzić ochronę środowiska przed zgubnymi działaniami człowieka. Szczycimy się tym, że jesteśmy istotami rozumnymi, a jednak niszczyliśmy środowisko i samych siebie. Ten proces, który przybiera rozmiar katastrofy, nie zostanie zażegnany bez stosownych przepisów prawnych oraz działań konsekwentnie wprowadzających owe przepisy w życie.

Zarówno przy stosowaniu prawa, jak i w leczeniu pacjentów powinna odgrywać istotną rolę intuicja oraz twórcza wyobraźnia. Julian Aleksandrowicz należał do grona tych uczonych, którzy uważają, że nie mogą wystarczyć same tylko przemyślenia intelektualne. Intuicją oraz twórczą wyobraźnią ma kierować się lekarz pragnący przywrócić choremu zdrowie.

Teoria jedności wszechrzeczy, którą szerzył profesor Aleksandrowicz, powinna mieć zastosowanie również w procesach legislacyjnych. Odpowiednikiem tego prawa ponadczasowego jest regulacyjna rola prawa pozytywnego w określonym państwie, czy też, może w przyszłości, w skali całego globu. Zarówno będąc lekarzem, jak i farmaceutą w pełnym tego słowa znaczeniu, jak i prawnikiem, powinno się mieć na względzie nie dobro poszczególnego człowieka, czy narodu lecz całą ludzkość. Płynie to logicznie z szacunku dla życia w każdej postaci.

Problemy wyższych wartości są nierozrwalnie związane z człowieczeństwem. Parafrazując znane powiedzenie Kartezjusza, można powiedzieć: wartościuję, więc jestem. Tymczasem według niektórych nurtów filozoficznych wartości nie są przedmiotem poznania naukowego.

Julian Aleksandrowicz przypominał, że szerzenie nienawiści, czy brzydoty jest karygodne nie mniej niż zbrodnia dokonana za pomocą noża. Jak podkreśla uczony o którym tu mowa, ludzkość wymyśliła nóż do krajania chleba a nie do zabijania. Wartości negatywne szkodzą człowiekowi, który je przeżywa, prowadząc do stanu braku harmonii wewnętrznej. Okazuje się, że świat o ile jest w małym stopniu nasycony pozytywnymi wartościami, staje się trudny do zniesienia nie tylko dla ludzi, ale także dla zwierząt.

Po to, by stanowić właściwe prawa, trzeba być człowiekiem wszechstronnie rozwiniętym i to nie tylko w sferze intelektualnej, ale i uczuciowej. Niezbędne jest doświadczenie życiowe; nie wystarcza sama wiedza teoretyczna. Podobnie lekarz oraz farmaceuta powinien być człowiekiem dbającym o rozwój swoich cech indywidualnych, by móc pomóc drugiemu człowiekowi. Stanowienie prawa w państwie demokratycznym pozostaje jednak w rękach wybranych często przeciętnych ludzi, bowiem wyborcy mają na ogół zmanipulowaną świadomość przez media.

Problem zawiera się też w tym, że zarówno studia prawnicze, jak i medyczne oraz

farmacja nie przyczyniają się do rozwoju właściwości indywidualnych, w tym do rozwoju uczuć i siły charakteru. Dominuje przygotowanie fachowe. Nie sprawdza się czy ktoś ma powołanie do tych zawodów. Dlatego nawet najznakomitsze rozwiązania prawne nie uzdrowią problemów związanych z prawidłowym funkcjonowaniem służby zdrowia. Ostatecznie wszystko zależy od człowieka. Stosunek lekarz - pacjent oraz aptekarz - pacjent wiąże się z ogólnym zagadnieniem stosunków międzyludzkich. Instrumentalny stosunek do drugiego człowieka w relacji lekarz - pacjent oraz aptekarz - pacjent prowadzi do katastrofalnych skutków. A warto zważyć, że lekarz, podobnie jak aptekarz, ma z reguły większą możliwość rozwoju własnego ja niż przedstawiciele wielu innych specjalności, bo oddziaływają na nich wciąż nowe bodźce płynące od poznawanych ludzi. Stawanie się odpowiedzialnym lekarzem, podobnie jak odpowiedzialnym aptekarzem, wiąże się najściślej z kształtowaniem własnego człowieczeństwa.

Bywają przeprowadzane analogie między sytuacją lekarzy i ustawodawców. Twórcy szkoły liberalizmu prawnego proponowali w XIX wieku, ażeby władza państwowa, gdy ma wątpliwości czy wydać jakieś przepisy prawne, postąpiła jak lekarz, który nie będąc pewny, że dany lek jest właściwy, w ogóle nie przepisuje go pacjentowi. Zasadzie medycznej, by pacjentowi przede wszystkim nie szkodzić, przedstawiciele wspomnianej szkoły nadali sens szczególny. Podkreślali, że świat da sobie radę bez nadmiernej ingerencji prawnej. A jeśli rząd zastanawia się czy podjąć jakieś działania, to postąpi najlepiej, gdy ich zaniecha. Jednak są niezbędne przepisy prawne określające na przykład sposób postępowania z człowiekiem umierającym, czy regulujące stosunek do ciała zmarłego. Prawo jest konieczne, by hamować instrumentalny na ogół stosunek do drugiego człowieka, pogłębiany przez brak wyobraźni, że można się samemu znaleźć w takiej sytuacji. Niezbędność prawa płynie też z mało rozwiniętego u wielu poczucia obowiązku, jak również z braku szacunku dla człowieka chorego, ułomnego, czy biednego.

Znakomity byłby system prawny, który chroniłby nie tylko przed naruszeniem życia i zdrowia somatycznego, ale również stanowiłby zaporę niedozwalającą na urazy psychiczne. Jest w tym stwierdzeniu zawarte marzycielstwo. Jednakże wiadomo, że urazy psychiczne bywają przyczyną chorób organicznych. Profesor medycyny Tadeusz Kielanowski pisał, że nauka nie zna argumentów mogących przemawiać za jakościową odrębnością zjawisk psychicznych od innych manifestacji życia.

cdn.

Maria Łajszkowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie**My, poeci...**

– Entliczki, pętliczki, czerwone guziczki, na kogo wypadnie, na tego być – to swym bursztynowym głosem powiedziała błękitnooka i złotowłosa Wiosna, wchodząc do *salonu mych myśli*.

– Ene due like fake, torbe urbe lisme smake, deus meus kosmateus, baks – to swym srebrzystym tenorem powiedział asystent Daniel Spaniel, wchodząc do *salonu mych myśli*.

– Tere fere kuku, strzela baba z łuku – to swym rubinowym barytonem powiedział filozof Pan Nietwór, wchodząc do *salonu mych myśli*.

– Entliczek, pętliczek, zielony kamyczek, a kto go dostanie, ma kwit na kochanie – to swym szmaragdowym altmem powiedziała, wchodząc do *salonu mych myśli* piwnooka, jak heban, czarnowłosa Luna.

I się zaczęło.

A jak to, a tak to, a czemu, a temu, a po co, a za co, a kto co, a na co, a jak to tak, a jak to co, a jak to gdzie, czy tu czy nie, czy tam czy siam. Popatrz się sam, na jakim tle, cały ten świat kręci się. Już wiem, już wiem. Daleko, daleko, za górą, za rzeką. Czyście powariowali? Za jaką górą, za jaką rzeką. Przecież to bliźniutko, tuż, tuż na wyciągnięcie ręki. Przecież to w Rio de Janeiro. Kopia, kopia, podkopują. Walą w bramkę na stadionie piłki nożnej. Jeden drugiego gryzie w ramię, albo w ucho, albo w nos. Jak to się zdarza w takich okolicznościach, serca biją dzwonem namiętności, a wtedy rzeczy niemożliwe stają się możliwe. Piłkarz piłkarza gryzie w czasie meczu na mistrzostwach świata w Rio de Janeiro. Cały świat to widzi. Cały świat na to patrzy. Cała ludzkość kiwa głową. Jedna ludzkość kiwa z radością. Druga ludzkość kiwa ze smutkiem. Obie ludzkości grają ze

sobą mecz moralności.

– Kruk krukowi oka nie wycmoka – powiedział filozof Pan Nietwór i kiwnął głową.

Raz kiwnął w lewo, raz kiwnął w prawo i wziął do ręki kufel zimnego piwa, bo na dworzu straszny gorącz, straszny upał, straszny żar. A wszystko takie jasne. Słońce takie jasne, piwo takie jasne i wyniki mistrzostw świata piłki nożnej takie jasne, zakończone finałowym meczem w Rio de Janeiro dnia 13 lipca 2014 roku. Ten mecz zagrali, zagrali Niemcy z Argentyną i wygrali Niemcy – jednym strzałem.

– To nasi wygrali ten mecz. To nasi wygrali ten mecz. To nasi strzelili gola – szmaragdowym altmem woła Luna, Luna woła i bije brawo klaszcząc w dłonie.

– Co ty mówisz, Luno – mówi Wiosna i nalewa piwo do kufla, bo na dworzu straszny gorącz, straszny upał, straszny żar. Przecież to Niemcy wygrali i oni są złotymi medalistami mistrzostw świata. My, Polacy, jesteśmy zdolni, jesteśmy utalentowani, ale jak dotąd nie potrafimy, nie udaje nam się zdobyć i opanować zbiorowej umiejętności taktycznej i jej skutecznej realizacji w bieżącej ciągłości czasowej.

Piwnooka Luna podniosła kufel, przełknęła długi łyk jasnego piwa i sprawę wyjaśniła.

– Powiedziałam, że to myśmy wygrali ten mecz o złoto, bo myśmy kibicowali Niemcom dając im złotą energię naszych myśli i przyjaźń w ramach Unii Europejskiej dla dobra sportu, na zdrowie ciała i ducha. Powtórzę to jeszcze raz – powiedziała Luna podnosząc kufel do ust i wybuchnęła śmiechem. Wiosno, wszystko jest w twoich rękach. Mój kufel jest pusty. Wiosno! Ratuj! Ratuj!

– Oj dana, oj dana, nałej Wiosno z dzbanu – powiedział filozof Pan Nietwór, podsuwając swój pusty kufel w stronę Wiosny.

Teraz odezwał się Daniel Spaniel – a w dzisiejszych czasach, gdy pijemy piwo w *salonie mych myśli* tu w Polsce, we Wrocławiu nad Odrą, w Polanicy Zdroju nad Bystrzycą, w Warszawie nad Wisłą, wszędzie jest tak blisko do Rio de Janeiro, które znajduje się w Brazylii, a Brazylija w Południowej Ameryce. Tak jest bliźniutko, bliźniutko jak na wyciągnięcie ręki, oczywiście gdy siedzimy przed telewizorem. Nigdzie nie musisz jechać, nigdzie podróżować, a wszystko widzisz, wszystko wiesz w drodze do prawdy.

– Jak zwykle chodzi mu o prawdę, zawsze o jakąś prawdę – skomentowała wypowiedź Daniela, piwnooka, jak heban czarnowłosa Luna uśmiechając się kokieteryjnie.

– Kokieteryjnie, jak zwykle – skomentowała uśmiech Luno, błękitnooka i złotowłosa Wiosna.

Głos zabrał filozof Pan Nietwór – prawdy są dwie.

Oto prawda pierwsza. Tam w Rio de Janeiro jeden piłkarz ugryzł drugiego piłkarza podczas meczu, a to rzecz niedozwolona, niedopuszczalna. Coś niemożliwego stało się

możliwe. Miliony widzów poznały prawdę.

Oto prawda druga. Tu w Warszawie, jedenastego lipca roku 2014 w pałacyku Ministerstwa Spraw Zagranicznych przy ulicy Foksał, podczas zebrania polskich europosłów, jeden europoseł uderzył w twarz drugiego europosła. Spoliczkował go na oczach innych, gdy ten mówił mu dzień dobry. A to rzecz niedozwolona, niedopuszczalna. Coś niemożliwego staje się możliwe. Miliony Polaków poznały prawdę. Jedna część Polski kiwa głową z radością. Druga część Polski kiwa głowę z smutkiem. Obie części Polski twierdzą, że są Polską demokratyczną. Coś niemożliwego staje się możliwe.

A co na to my, poeci? Filozof Pan Nietwór odpowiada.

*My poeci wierszokleci budujemy nowy świat
ze słów śmieci piękno wzleci i rozkwitnie rajski kwiat
ludzie bierzcie kwiat do ręki i ruszajcie w drogę już
bo to koniec waszej męki a do celu tuż tuż
Budujecie stary świat! – do poety woła kat
i podnosi miecz do cięcia więc poeta zmienił zięcia
bo ten kat był jego zięciem. Zakończyło się*

przyjęciem

Nowym zięciem też jest kat

coś niezwykle pociesznego w nowym świecie stary

ład

*co tradycja to tradycja oto sztuki definicja
brak tradycji też tradycja oto sztuki aparycja
jak widzicie wiersz się kręci są tu święci i jest kat
nie brakuje dobrych chęci ani jeszcze lepszych wad
My poeci wierszokleci z naszych marzeń złotych*

krat

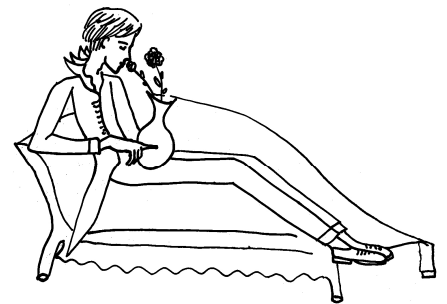
*układamy wolną przestrzeń by się zmieścił piękny
świat*

– Prawdy są trzy – zawołał Daniel Spaniel. Oto prawda trzecia. Ktoś nam walnął gola przez dziurkę od klucza w drzwiach do *salonu mych myśli*. Wleciała piłka na środek naszego stołu jak do bramki na boisku. Nikt z nas nie obronił gola.

– Miły Danielu, a cóż to za prawda – odezwała się piwnooka Luna. Wielkość tej piłki jest jak główka od szpilki.

– Masz rację, Luno – powiedział Daniel Spaniel – ta prawda nikogo niczym nie kłuje. Pijmy piwo. Kufle w górę. Moi drodzy, za kulturę!

I wypiliśmy piwo bardzo kulturalnie. Nikt nikogo nie ugryzł i nikt nikogo nie spoliczkował.



Rys. Barbara Medajska

POEZJA

Patryk Chrzan, „Przekazy podprogowe”. Projekt okładki i fotografie okładki: Agencja K&D, Kamila Szymczak-Wróblewska. Wydawnictwo internetowe e-bookowo, Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna, Będzin 2013, s. 60.

Tomasz Dalasiński, „Stosunki przegrywane”. Projekt okładki: Magdalena Modławska. Zdjęcie autora na okładce: Aleksandra Szwagrzyk. Na okładce motyw z rzeźby Antonio Canovy. *Biblioteka Współczesnej Poezji Polskiej*. Wydawnictwo „Zeszyty Poetyckie”, Gniezno 2013, s. 48.

Eligiusz Dymowski, „Dotyk pamięci. Wiersze wybrane”. Posłowie: Jan Leończuk. Fotografia na okładce: Anna Worowska. Wydawnictwo Prymat, Białystok 2014, s. 210.

Zuzanna Ginczanka, „Wniebowstąpienie Ziemi”. Wybór i posłowie: Tadeusz Dąbrowski. Rysunki: Julita Nowosad. Opracowanie graficzne serii: Artur Burszta. Seria 44. *Poezja polska od Nowa*, tom 12. Biuro Literackie, Wrocław 2013, s. 84.

Agim Gjakova, „Saga o wietrze”. Wybór i przekład z języka albańskiego: Mazlum Saneja. Opracowanie i współpraca: Ewa Śmietanińska. Projekt okładki, ilustracja na okładce: Mieczysław Jędrzejewski. Wydawnictwo Komograf, Warszawa 2013, s. 140.

Mariusz Grzebański, „W innych okolicznościach”. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Orłowska. Rysunek na okładce: Marianna Sztyma. EMG, Kraków 2013, s. 48.

Marta Kucharska, „Abisynia”. Projekt okładki: Magdalena Modławska. Fotografia na okładce: Marie-Lan Nguyen. Autor rzeźby: Pierre Legros (starszy). *Biblioteka Współczesnej Poezji Polskiej*. Wydawnictwo „Zeszyty Poetyckie”, Gniezno 2013, s. 50.

Sabina Kuśmicka, „Jak krople. Wiersze”. Redakcja, projekt okładki i fotografie: Bogusław Majusiuk. Nakład autorski, Lublin 2013, s. 96.

Arkadiusz Kwaczek, „Arkadiament”. Projekt okładki: Magdalena Modławska. Wstęp: Karol Samsel. *Biblioteka Współczesnej Poezji Polskiej*. Wydawnictwo „Zeszyty Poetyckie”, Gniezno 2013, s. 44.

Kamil Kwidziński, „Conan i coco”. Zdjęcie na okładce: Alicja Reczek. Projekt okładki: Magdalena Modławska. *Biblioteka Współczesnej Poezji Polskiej*. Wydawnictwo „Zeszyty Poetyckie”, Gniezno 2013, s. 64.

Klara Nowakowska, „Niska rozdzielczość”. Kolaż na okładce: Karina Sokolnicka. Opracowanie graficzne: Aleksandra Matyas. Fundacja na Rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2013, s. 44.

Grzegorz Olszański, „Starzy nieznajomi”. Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Nazarkiewicz. *Biblioteka „Opji”*. Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych, Katowice 2013, s. 78.

Jan Krzysztof Piasecki, „To tylko ślady. Wiersze ze Wzgórz Sokolskich”. Projekt okładki i strony

tytułowej: Krzysztof Łatuszyński. Na I stronie okładki reprodukcja obrazu Zbigniewa Nowosadkiego. *Biblioteka Poetycka*. Oficyna Wydawnicza „Agawa”, Warszawa 2014, s. 52.

Eliza Segiet, „Romans z sobą”. Redakcja: Andrzej Żmuda. Wstęp: Piotr Mróz. Projekt okładki i zdjęcia: Piotr Karczewski. Wydawnictwo Sowell, Rzeszów 2013, s. 144.

Cezary Sikorski, „Według Józefa”. Opracowanie graficzne: Olga Raciborska. Fotografie w tomie: Majka Kuczara. Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2014, s. 84.

Ewa Sonnenberg, „Wiersze zebrane”. Projekt okładki: Marcin Lagocki. *Biblioteka Rity Baum*. Stowarzyszenie Kulturalno-Artystyczne „Rita Baum”, Wrocław 2014, s. 532.

Paweł Tomanek, „Sam tu, piesku”. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Agnieszka Sowała-Kozłowska. Projekt typograficzny: Krzysztof Miniak. Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2013, s. 44.

PROZA

Giorgio Bassani, „Złote okulary”. Przełożyła: Halina Kralowa. *Zeszyty Literackie*, Warszawa 2014, s. 92.

Ewa Klajman-Gomolińska, „Iluzja”. Redakcja, projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębkowski. Zdjęcie na IV stronie okładki: Angelika Maria Gomolińska. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Żelów 2014, s. 76.

Karol Maliszewski, „Przemyśl-Szczecin”. Projekt okładki: Aleksandra Matyas. Fundacja na Rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2013, s. 128.

Ian Rankin, „Stojąc w cudzym grobie”. Przełożył: Jan Kraśko. Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2014, s. 447.

Patti Smith, „Obłokobujanie”. Przełożył: Maciej Świerkocki. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka. Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 96.

Andrzej Turczyński, „Bruliony starej ziemi”. Zdjęcie autora: Henryk Maćkowiak. Fotomontaż na okładce: Rafał Babczyński. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. *Seria Kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy, Szczecin-Bezzrzecze 2013, s. 214.

Jerzy Utkin, „Czarny Albatros. Minipowieść”. Redakcja: Stefan Pastuszewski. Korekta: Romuald Mikołajczak. Opracowanie graficzne: Anna Mroszczok-Podolak, Andrzej Podolak. Wydanie II. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2014, s. 92.

Zbigniew Wilczyński, „Wierzchołek cienia. Opowiadania rozproszone”. Redakcja i nota na okładce: Grzegorz Bazylak. Projekt i wykonanie okładki: Lena Wójcik. Wydawca: Oddział Łódzki Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Literatów, Łódź 2014, s. 138.

Michał Wójcik, Emil Marat, „Made in Poland. Opowiada jeden z ostatnich żołnierzy Kedywu Stanisław Likiernik”. Wydawnictwo Wielka Litera, Warszawa 2014, s. 304.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

William Davis, „Dieta bez pszenicy. Jak pozbyć się pszenicznego brzucha i być zdrowym”. Przełożył: Roman Palewicz. Projekt okładki: Mariusz Banachowicz. Redakcja: Katarzyna Kondrat. Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., Wrocław 2013, s. 328.

Magdalena Kubiak, „Droga bez powrotu? Komedie sceniczne Mariana Hemara”. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Dom Wydawniczy DUET, Toruń 2012, s. 194.

Sławomir Matusz, „Licznik Geigera. 20 najważniejszych współczesnych wierszy w interpretacjach”. Zdjęcie autora na okładce: Małgorzata Skrzypczak. Fundacja im. Jana Kochanowskiego, Sosnowiec 2013, s. 198.

Włodzimierz Paźniewski, „Biuro podróży metafizycznych [eseje]”. Opracowanie graficzne: Marek J. Piwko {mjp}. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2013, s. 384.

Jerzy Pomianowski, „Wszystkie biedy zostały już popełnione”. Tłumaczenie: Andrij Pawłyszyn. Przygotowanie do druku: Piotr Mitzner, Andrzej Peciak. Opracowanie graficzne: Krzysztof Rumowski. Zdjęcie autora: Krzysztof Dubiel. Instytut Książki, Kraków, Warszawa 2014, s. 24 + 24.

„Reprezentacje Holokaustu”. Wybór i opracowanie: Jerzy Jarniewicz i Marcin Szuster. Projekt graficzny: Tomek Frycz i Marcin Wicha. Kolekcja „Literatury na Świecie”. Instytut Książki, Literatura na Świecie, Kraków, Warszawa 2014, s. 494.

Michail Robinson, „Losy elity akademickiej. Rosyjska sławistyka od 1915 roku do początku lat 30”. Przełożył: Mirosław Skarżyński. Projekt okładki i stron tytułowych: Janusz Fajto. Wydawnictwo Akademickie SEDNO, Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, Warszawa 2014, s. 570.

Stanisław Stanik, „Spotkania. Postacie literatury przełomu XX i XXI wieku”. Ilustracje: Krystyna Guranowska. Wydawnictwo Komograf, Warszawa 2014, s. 152.

„Światy możliwe Jana Drzeżdżona” pod redakcją Daniela Kalinowskiego; „Pamięci Jana Drzeżdżona” pod redakcją Janiny Borchmann i Bartłomieja Wiszowatego. Na okładce obraz Portret Jana Drzeżdżona – Maciej Tamkun. Projekt okładki: Jadwiga Paszek. Biblioteka Publiczna Gminy Wejherowo im. Aleksandra Labudy w Bolszewie, Urząd Gminy Wejherowo, Bolszewo 2013, s. 504.

[ad]

Fragment wywiadu, jaki udzielił Jan Komasa Kalinie Błażejowskiej w „Tygodniku Powszechnym”, numer 31/2014.

[...] „Kalina Błażejowska: – Michał Oleszczyk, dyrektor festiwalu w Gdyni, mówił, że »Miasto 44« pokazuje Powstanie w wersji pop. Że jest zrobione dla ludzi wychowanych w kulturze obrazkowej. I że o ile »Kanał« otwierał jakiś etap w mówieniu o Powstaniu, to Twój film go zamyka.

Jan Komasa: – »Kanałem« byłem bardzo zainspirowany, wiele razy go widzieliśmy. Odstawiłem na półkę »Szeregowca Ryana«, bo pomyślałem, że fajnie będzie, jeśli nie zrobimy tego filmu tak, jak wszyscy myślą, że zrobimy. W pierwszej części staraliśmy się wrócić do klasyki, a potem nasz film rozciął się na części. W każdym sensie: sposobu opowiadania, prowadzenia kamery, montażu.

Wersja pop? Może tak. Jestem rocznik '81, więc wychowałem się na filmach typu »Indiana Jones«: to było moje dzieciństwo i nic na to nie poradzę. Kino artystyczne poznałem w drugiej kolejności. Cała moja wrażliwość wyszła z »kina dla ludzi«, kina kultowego. Pierwszym moim doświadczeniem kinowym było »Pulp Fiction«. Zobaczyłem je, jak miałem 12 lat, w 1994 r. W tym samym roku obejrzałem »Forresta Gump« i »Skazanych na Shawshank«: trzy filmy, które oglądałem potem na okrągło. »Terminatora II« widziałem sto razy. Wiem, bo z bratem siedzieliśmy i liczyliśmy.

W moim pokoleniu dużo osób na podstawie tych filmów myśli, mówi i funkcjonuje. Ta konwencja pop musiała się na »Miasto 44« przełożyć, chociaż nie zamierzałem nią epatować. Chciałem, żeby to było autorskie spojrzenie, w sensie: moje spojrzenie. Nawet jeśli to jest pop, to mój własny pop.

– Niektórzy bali się, że przedstawiś wyidealizowany obraz Powstania, landszaft; inni, że zrobisz brutalny komiks. Zwłaszcza po Twoim okładowym wywiadzie z »Przekroju«: o krwi i mięsie.

– Tego nie można uniknąć, mówiąc o Powstaniu. To była masakra.

Zwłaszcza jeśli się o tym opowiada w konwencji kina drogi, chronologicznie i wielopoziomowo. Każdy rozdział zaczyna się nazwą dzielnicy i każdy odróżnia się wizualnie, każdy był kręcony w innym mieście, żeby zachować klimat.

Mieliśmy 3 tys. statystów: to miasto wykreowane w tle, to cierpienie ludzkie jest u nas bardzo mocne. Pojawiają się obrazy jak z syryjskiego szpitala, z arabskiej wiosny czy z Majdanu. Tym się inspirowałem: chciałem zobaczyć ducha rewolucji i ducha tego cierpienia. Żeby jak najbardziej przemówić do widza, oglądającego w internecie masę strasznych scen. Nie chciałem epatować okrucieństwem. Nie ma zbliżeń na szczątki, ale pewnych rzeczy nie mogłem pominąć. Pokazywałem okrucieństwo, żeby opowiedzieć o tym, że jednak istnieje dobro, że nie da się dobra zabić. Mówiąc tak już na przekór wszystkiemu.

– Jest happy end?

– Nie wiem... Jest współczesna Warszawa, pod napisami. Tylko tyle, to mój jedyny komentarz: że nie da się zabić miasta, że miasto i ludzie się odrodzą. Trzeba o tym mówić, bo nienawiści jest bardzo

dużo, choć się na szczęście wypala. Wierzę, że człowiek, mimo wszystko, jest raczej dobry. W 51 procentach dobry. Że ten jeden procent zawsze przeważa. Może jestem naiwny. Ale to też chciałem w tym filmie pokazać.

Fragment wywiadu prof. dr. hab. Andrzeja Chwalby z Jarosławem Krawczykiem i Tomaszem Bohunem w Magazynie Historycznym „Mówią Wieki”, numer 7/2014.

– Pierwsza wojna światowa wybuchła równo 100 lat temu, na przełomie lipca i sierpnia 1914 roku. Bezpośrednim powodem stało się zabójstwo w Sarajewie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, austriackiego następcy tronu, przez serbskiego nacionalistę. Czy był to powód wystarczający?

Andrzej Chwalba: – Wiedeń w porozumieniu z Berlinem przewidywał wojnę lokalną z Serbią. Generalnie w obu stolicach bano się wojny ogólnoeuropejskiej, nie mówiąc już o światowej. Uważano, że jeśli armia austro-węgierska się spręży, to w dwa – trzy tygodnie rozbije w puch wojska serbskie. Zostaną wówczas osiągnięte cele polityczne, militarne, gospodarcze i kulturowe, które zakładano od kilkudziesięciu lat. Wstępem do projektu opanowania Bałkanów przez Austro-Węgry i kontroli nad Cieśninami Czarnomorskimi była aneksja Bośni i Hercegowiny w 1908 roku. W ślad za Austriakami, którzy przecierali szlaki, szli Niemcy ze swoim kapitałem, bronią, interesami. Oba kraje miały szczegółowe porozumienia o współpracy militarnej, odnowione w maju 1914 roku, a zatem doprecyzowany scenariusz działań. Oczywiście plan przewidywał też działania na wypadek wystąpienia Rosji czy Francji – to był wariant B. Austriacy z pomocą Niemiec mieli powstrzymać Rosję, a Niemcy w ciągu czterdziestu paru dni mieli dojść do Paryża i zająć go. Było to obliczone na różnicę potencjałów demograficznych i różnice gospodarcze, bo Francja miała wówczas 39 mln mieszkańców, a Niemcy 68 mln. Armia niemiecka była zaś lepsza od francuskiej. Nie planowano natomiast wojny z Wielką Brytanią.

O wojnie przesądziła też skala napięcia ze względu na zaburzone interesy i emocje, które wisiały w powietrzu od dawna. I te emocje mówiły, że konflikt zbrojny musi przyjść. W końcu Europa trwała od kryzysu do kryzysu. Z wielkim trudem dyplomatom udawało się wcześniej osiągać kompromis, często kosztem innych państw. Teraz nie było tego trzeciego i nie było jak się z tego wyplątać. To uruchomiło reakcję łańcuchową- efekt domina.

– Wkroczmy na pole tzw. historii alternatywnej: czy gdyby zabójca arcyksięcia Gavrilo Princip dostał np. duru brzuszego dzień przed zamachem albo po prostu spudłował, wojna by nie wybuchła?

– Szukano by kolejnego pretekstu. Wojna wybuchłaby może za pół roku, za rok. To był dobry czas dla zamachowców, bo nie było rozbudowanych służb ochrony typu BOR, kamer, zabezpieczenia satelitarnego, czyli środków ułatwiających lokalizację zagrożenia. Widzimy na starych filmach czy na zdjęciach, że monarchowie podróżowali w otwartych karocach albo poruszających się niewiele szybciej samochodach.

Powstanie... Warszawskie...

(Dokończenie ze strony 15)

Pol 72:

Bezsensowne straty w imię nierealnych celów politycznych. Zdrada Francuzów i Anglików była oczywista, już w 1939 roku, a Amerykanie poświęcili nas, jak to oni, w imię swoich interesów, standardowo w Teheranie w 1943 roku. Nauczka na przyszłość – liczyć tylko na siebie, a nie na sojuszników. No i kwestia kadry dowodzącej powstania – jak można wydać rozkaz ataku nie posiadając zapasów broni i amunicji. Dla zainteresowanych – polecam film „12 ton. Oni tam wszyscy są” – o konsekwencjach powstania dla ludności cywilnej.

Numer 7:

USA i Unia Europejska chcą nas wepchnąć do podobnej samozagłady. Pragną abyśmy zaatakowali Rosję. Ludzie pamiętajcie o Powstaniu Warszawskim, to największa klęska Polski.

Urodzony Warszawiak:

Masz dom. W tym domu mieszka cała twoja rodzina – ty, twoja żona, trójka dzieci. Pewnego dnia wprasza się do ciebie sąsiad. Wali mocno do drzwi, każe otworzyć. Ty nie chcesz go wpuścić bo jest agresywny. Barykadujesz więc drzwi. Naciśkasz na nie z całych sił. W tym czasie drugi twój sąsiad wylamuje twoje tylne drzwi, dostaje się do środka i sprzedaje ci konkretnego kopa w tyłek tak, że musisz odpuścić blokowanie drzwi i pierwszy sąsiad wbija się do domu. Drugi sąsiad wychodzi sobie na podwórko, a pierwszy rozsiada się w domu. Ma strzelbę więc przywłaszcza sobie twoje rzeczy, ubranie, zjada twoje jedzenie, wypija drogie trunki, niszczy meble, sra na środku pokoju, albo leje w kącie, od czasu do czasu zgwałci ci żonę, dzieciaki bije – jedno nawet już załłukł na śmierć – pozostałym każe pracować na polu w strasznych warunkach nie dając praktycznie nic do jedzenia. Ty też od czasu do czasu zostajesz pobity, nigdy nie wiesz, kiedy zabije ci żonę, pozostałe dzieci albo ciebie, ale cierpliwie to znosisz bo masz nadzieję, że wreszcie sobie pójdzie albo pomogą ci inni sąsiedzi, z którymi on też ma na pieńku, bo ich domy też „splondrował”. I tak mija pięć miesięcy... Wtedy okazuje się też, że ten drugi sąsiad, który wcześniej wyważył twoje drzwi pokłócił się z pierwszym sąsiadem i chce go przegonić... pozostali sąsiedzi też wzięli się w garść i słysząc, że będą się buntować, słyszysz już kroki na podwórku. Sąsiad, który na ciebie napadł ma strzelbę jest duży i silny, chociaż zauważyłeś, że jest już trochę tym wszystkim zmęczony, waha się i słyszy nadchodzących sąsiadów z obu stron... Odwraca się plecami i wygląda przez okno... Na stole w dużym pokoju leży nóż, niezbyt ostry, zwykły nóż do smarowania chleba masłem... Jest na wyciągnięcie ręki... Co robisz?

Andrzej Dębkowski

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ŻELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębkowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębkowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.